# ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.



ŁOWY EGZOTYCZNE

MAJ 1929

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 20 (525). WARSZAWA, 18 maja 1929 r. ROK XXII.



# ŁOWIEC POLSKI

## ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P.K.O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

**PRENUMERATA:** zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

**CENA OGŁOSZEŃ:** Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

**W numerach ozdobnych:** za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

## HUMOR MYŚLIWSKI.

### Świeży myśliwy.

Lewi powraca z polowania i opowiada małżonce:

— Wiesz, Sara, tak się przestraszyłem... Jakem się w lesie schylił, to moja strzelba wystrzeliła!

— Co ty — narzeka Sara — potrzebujesz chodzić na polowanie ze strzelbą? Lepiej ją zostaw w domu.



### Parasol a strzelba.

— Tam do licha — narzeka profesor. — Zamiast strzelby zabrałem parasol na polowanie.

— Wszystko jedno! — odzywa się nadleśny. — Koty tak samo będą zmykały przed parasolem, jak przed pańską strzelbą.

### Raj kłusowników.

— U nas na wsi to ci jak w raju, prócz jegomości i leśnego, wszyscy są kłusownikami.





### „Naszyjnik“ psa.

Na przechadzce spotykają się dwa pieski i zaczynają rozmowę.

— Czy wiesz — mówi jeden z nich — moja stara znowu zgubiła naszyjnik!

— Gdyby to zdarzyło się mnie lub tobie, dawno bylibyśmy u rakarza.

---

**Zające w jeziorze.**

— Mieliśmy doskonałych naganiaczy — opowiada myśliwy niedzielny, — spędzili nad jezioro z 50 kotów, ani jeden nie uszedł!

— Tak? — zapytuje złośliwy leśniczy. — Więc wszystkie się potopiły?

**Zęby kury.**

— W jaki sposób odróżnić można starą kurę od młodej?

— Po zębach.

— Jakto, a bo kura ma zęby?

— Nie, ale człowiek za to je posiada.

### Zwierz a człowiek.

— Zwierz drapieżny objawia swe cechy charakterystyczne, gdy zobaczy krew; człowiek — gdy ujrzy złoto.







**Zając zwierzyną.**

Sędzia: Postrzeliłeś pan chłopa. Nie wątpię, że to był strzał przypadkowy. To też jesteś pan tylko oskarżony o nieostrożne obchodzenie się z bronią. Bądź co bądź, chłop został postrzelony. Czy możesz pan przytoczyć jakie łagodzące okoliczności na swoją korzyść?

Oskarżony: Mogę... Chłop ten nazywa się Zając.



**Król polowania.**

— Na jednem z polowań podmiejskich królem łowów był Iksiński, który, jak donoszą dzienniki, miał na rozkładzie: babę, krowę, wieprza i własne, na wylot przestrzelone kolano.



**Pewne pudło.**

— Słyszałeś, co się radcy Pudłowskiemu przytrafiło na polowaniu?

— Jemu? To chyba pomyłka, gdyż jak on idzie na polowanie, to się zwykle komu innemu coś przytrafia.



Bakari, Loa i Naue, oraz reszta murzynów nad ubitym nosorozcem w dn. 9/VI-28 r.
Fot. i ubił J. Pętkowski.

# NA NOSOROŻCE.

*Urywek z dziennika myśliwskiego Jana Pętkowskiego.*

Macungani, 8.VI. 1928.

Piątek i sobota, ósmego i dziewiątego czerwca roku 1928-go — dnie te należy zapisać złotymi głoskami w dzienniku moich wspomnień myśliwskich. Ile razy myśli wracają do przejść owych dni, tylekroć przeżywam na nowo chwile te, które na całe życie niezatarte wspomnienia zostawiły. A było to tak:

Obóz nasz rozbiliśmy w okolicach Macungani, pod rozłożystemi drzewami w odległości ok. 50 kroków od małego zagłębienia z mętną wodą z czasów pory deszczowej, u nas nazywaną pospolicie błotem. Noc ze środy na czwartek była bardzo chłodna, to też ledwie świtać zaczęło, byliśmy już na nogach. O 6-tej wyruszamy. — Jaś Koźmian z Bakarim obiera sobie kierunek południowo-wschodni, ja zaś z Prinzloo, udajemy się więcej ku północy. Po drodze spotykamy stada zebr, kongoni, impalli i thomsonów. Ponieważ potrzebujemy koniecznie dla ludzi mięsa, strzelam do zebry. Zebra dobrze strzelona, znika nam za pagórkiem. Idziemy za nią, mijamy wywyższenie i dochodzimy do nieżyjącej już zebry strzelonej na łopatkę. W czasie gdy Prinzloo rozkazuje kilku czarnym zająć się transportem ubitej zwierzyny, zwraca nam boy mój Naue przytłumionym głosem uwagę i pokazuje stojącego w wolnym stepie o jakie 400 kroków od nas, bardzo silnego nosorożca. Rhino usłyszał widocznie mój strzał, a nie orjentując się co to za odgłos, stał niezdecydowany co począć. Prinzloo patrzy przez szkło i mówi, że mamy przed sobą rzadko wielkiego byka. I mnie się wydaje potwornie duży, o wiele większy od wczoraj widzianych. Nosorożec po chwili zawraca i niknie nam z oczu w falistym terenie. Spiesznie ruszamy za nim, dochodzimy do jego potężnych tropów. Idąc za tropem dobrą godzinę, rhina już więcej nie widzimy; dochodzimy do lasku cierniowego, gdzie natrafiamy na cały szereg błotnistych zagłębień, w których nasz nosorożec, czy też jego towarzysze ubiegłej nocy zażywały kąpieli. Niestety, trawa naokoło tych bajurek tak jest zdeptana, że nasi czarni gubią trop. Stoimy bezradni. Wreszcie decyduję się wspomniany lasek obejść, — może natrafimy na trop rhina, wychodzącego w dalszy step.

Św. Hubert był dla mnie w dniu dzisiejszym szczególnie łaskaw. Gdyśmy uszli bowiem nie więcej jak 500 mtr., zatrzymał nas okrzyk jednego z czarnych: „Kifaru, Kifaru". Rzeczywiście na samym szczycie góry, położonej od nas o jakie 1500 mtr. widzimy oddalającego się rhina. Ruszamy ostro, muły wyrywają, popędzane przez nas, co tylko mogą czarni podążają za nami zziajani i z wielkiem zainteresowaniem wyglądają, by tylko nie stracić rhina z oczu. Skręcamy na lewo, chcąc mu drogę odciąć, — niestety, wielka przestrzeń zalana wodą, która sięga mułom powyżej brzucha, powstrzymuje nasze podejście pod górę, za którą rhino zniknął. Przebrnąwszy wreszcie przez wspomniane mokradła, nie widzimy już nosorożca i znów tracimy dobry kwadrans na zorjentowanie się podług tropów, gdzie się rhino podział. Ale widocznie z góry przeznaczone było, że cały dzień mi szczęście sprzyjać będzie, gdyż i tym razem drugi mój boy Stambul zoczył nosorożca wolno posuwającego się w sąsiednim lasku cierniowym.

Teraz już nie tracimy rhina z oczu. Postępujemy szybko za nim, przechodzimy przez mały pagórek i mamy przed sobą przepiękny widok, jedyny w swoim rodzaju. O jakie 800 mtr. od nas kąpie się nasz wspaniały byk w kałuży, z której wychodzi, lśniąc się cały w promieniach słońca tak, że wyglądał zu-

pełnie srebrno-biały. Po drodze natrafia na wielkie stado elandów-łań, które rozpędza we wszystkie strony, szarżując w zdumiewająco zwinny sposób. Całe stado elandów z goniącym za nim rhinem ginie nam z oczu, wpadając w dość stromy parów. Prinzloo zwraca mi uwagę, że nie długo musimy się spotkać z nosorożcem, ponieważ nosorożec, za którym idziemy, w krótkim czasie poszuka sobie miejsca do spoczynku. Prinzloo twierdzi, iż każdy silny nosorożec, przed położeniem się do snu, rozpędza wszelką zwierzynę, znajdującą się w pobliżu.

Skręcamy na prawo, — staramy się podejść bliżej parowu z dobrym wiatrem i w tym celu robimy małe okrążenie. Idę pierwszy, za mną Prinzloo i kilku murzynów. — Reszta z naszymi mułami zostaje u podnoża góry. Prinzloo chwyta mnie nagle za rękę i pokazuje mi na jakie 160 kroków, nosorożca, stojącego na sztych tak, że mu tylko łeb było widać w wysokiej trawie. Rzucam express Nauemu, — Loa podaje mi mauser; w jednej chwili zakładam lunetę i gotowy do strzału oczekuję, by rhino mi choć trochę komory pokazał. Strzał w łeb na ten dystans uważam za zbyt ryzykowny.

Gdy tylko nosorożec zwrócił się do mnie szeroką stroną, strzeliłem, mierząc na komorę. W chwili strzału rhino ruszył szalonym pędem naprzód i w kilku susach zniknął za górą. Z wielką emocją i zdenerwowaniem przechodzimy szczyt góry. Prinzloo twierdzi wprawdzie, ze słyszał dokładnie uderzenie kuli, ja mogę tylko o sobie powiedzieć, że punkt w lunecie spoczywał względnie spokojnie na wysokiej łopatce rhina w chwili oddania strzału. Po przejściu może 200 kroków, Prinzloo wskazuje mi jakąś sterczącą z wysokiej trawy, czarną masę i mówi, że to rhino leży. Zbliżamy się do owej masy, na jakie 100 kroków. Prinzloo patrzy przez szkło i z rozczarowaniem stwierdza, ze to nie nosorozec, tylko wielki głaz kamienny, które tu co chwilę spotykamy. Ze smutkiem zawracamy do pierwotnych tropów rhina, — jeszcze raz odwracam się, chcąc się przez mego Hensoldt'a przyjrzeć owej złudnej masie. Nagle zauważam (wprost mi się w pierwszej chwili wierzyć nie chce), że ów rzekomy kamień się porusza, kiwając się powoli to w prawą, to w lewą stronę. Pędzę, jak szalony, nie oglądając się za nikim i ciekawy jestem, co w danym momencie Prinzloo i murzyni o mnie myśleli — i po chwili stoję przed kapitalnym nosorożcem. Dwa strzały nad ucho zapewniają mi wspaniałą zdobycz. Ogromnie się cieszę, pierwszy nosorożec w życiu, i do tego bardzo dobry. Prinzloo mi winszuje dobrego strzału, wszyscy murzyni ściskają mi ręce, ciesząc się niemniej odemnie ze wspaniałego trofeum. Kula 9,3×62/474 pełnopłaszczowa przebiła płuca, powodując krwotok wewnętrzny i śmierć rhina. Strzały za ucho były zbyteczne, oddałem je tylko ,pomnąc tyle przestróg różnych myśliwych afrykańskich, iż na grubego zwierza lepiej kilka kul za wiele, niż jedna za mało.

Dobrą godzinę czasu zajmuje mi fotografowanie ubitego rhina, — potem zostawiamy przy nosorożcu Stambula i Semaniego z kilkunastu ludźmi, polecając im zdjęcie z rhina całej skóry ze łbem. Pomoc przyślemy im z campingu. Słońce stoi wysoko nad nami i czas najwyższy zawrócić do obozu. Po drodze ubijam dla ludzi zostawionych przy rhinie, mocnego byka kongoni i w wesołym nastroju zdążamy do obozu. Niedaleko od obozu ubijam jeszcze jedną kongoni. Wysyłamy do pomocy Stambulowi 40 wambulów. Nad wieczorem wyszedłem jeszcze na mały podchód w step i widziałem na jakie 300 mtr. lamparta, czy też geparda, który mi szybko zniknął w wysokiej trawie.

Jaś nie chciał początkowo wierzyć, że w drugim dniu polowania udała mi się upolować tak wspaniałą zwierzynę, — potem opowiadaniom nie było końca. Butelką Heidsicka zakańczamy szczęśliwy dla mnie dzień ósmego czerwca. Teren, w którym ubiłem nosorożca, nazywają czarni „Andabash".

Macungani 9.V 1928.

Również i dziewiątego czerwca Św. Hubert obdarzył mnie wielką łaską. Rano wyruszyłem z Bakarim, posuwając się w kierunku wschodnim. Przy samym obozie strzeliłem ładnym dubletem dwie kongoni, potrzebne nam na mięso dla ludzi. Dochodzimy do terenu górzystego. Idąc szczytem gór, zauważył pierwszy strzelec mój Loa, wielkiego nosorożca, znikającego w szybkiem tempie w gąszczu. Polecam Bakari'emu tropienie rhina i z gotowym do strzału sztucerem wchodzimy w szalony gąszcz przenajróżniejszych krzaków i drzew kolczastych, gdzie czasami tylko na 2 — 3 kroki ewentualnie można byłoby nosorożca zobaczyć. Rhino prowadza nas w gąszczu tam i z powrotem, myląc nam ciągle tropy. Robi się w międzyczasie południe, — zgórą pięć godzin idziemy za rhinem. Cztery razy płoszymy go z legowisk, z których uchodzi, prychając i łamiąc gałęzie. Orjentuję się nieraz, że rhino jest tuż, tuż przed nami, zwarta jednak gęstwina, otaczających nas zarośli uniemożliwia nam wszelki widok. Sytuacja robi się coraz więcej drażliwą i denerwującą. Podziwiam w duszy Bakari'ego, — rhino bowiem kilkakrotnie zachodzi nam na tyły, krzyżując swoje ślady, — mimo to Bakari, pełzając prawie że stale po ziemi, odnajduje trop nosorożca. Bakari, idąc przedemną, wprowadza mnie na małą łączkę w środku gąszczu. Nim się zdążyłem rozejrzeć po łączce, — chwyta mnie nagle Naue za rękę



Jan Pętkowski z ubitym nosorożcem w Andabash. 8/VI.-28.

stronę: „Bwana, kifaru, bwana, kifaru". Momentalnie i stłumionym głosem szepce, wskazując w prawą dostrzegam za małym krzakiem nosorożca zwróconego ku nam mniej więcej o jakie 35 kroków. Scena, która teraz nastąpiła, przeminęła w tak szalonem tempie, że trudno wprost opisać. Nosorożec spłoszony kilkakrotnie z legowisk, — oczekiwał nas na wspomnianej łączce, chcąc się naocznie przekonać, co za dziwne stworzenia śmią mu w jego południowej drzemce przeszkadzać. — Zobaczywszy nas, ruszył momentalnie ku nam pełnym pędem wprost na sztych. Bakari uskoczył w bok, dając mi wolne pole do strzału, za mną słyszałem przeraźliwy krzyk uciekających murzynów. Później się zorjentowałem, że zostało nas tylko trzech: Bakari, Naue i moja osoba. Nawet strzelec Loa zwiał z rezerwowym sztucerem. Nie było chwili do stracenia. Nosorożec szarżował na nas, łeb trzymając przy ziemi, co przy wysokiej trawie uniemożliwiało wpakowanie mu kuli w łeb. Ostatecznie długo namyślać się nie było można, był już odemnie na jakie dziesięć kroków. Strzeliłem, mierząc w kręgi.

Efekt strzału był nadzwyczajny, rhino na ciężki pocisk z expressu zareagował w ten sposób, że zaczął się kręcić na około siebie w tak szybkiem tempie, iż o strzale z drugiej lufy myśleć nie było można. Kręcąc się, wyrzucał całe kupy ziemi i darniny. W chwili tej część murzynów, która została za nami, słysząc mój strzał i nie przeczuwając nic złego, przedarła się przez gąszcze do owej łączki. Murzynów tych, mających na sobie białe derki, dostrzegł ranny nosorożec i w jednej chwili ruszył ku nim. Wszyscy murzyni ratowali się ucieczką na drzewa lub pouwieszali się na najbliższych krzakach, z wyjątkiem jednego, który stracił widocznie panowanie nad sobą i począł uciekać środkiem łączki na ukos odemnie. Nosorożec sunął tuż za nim. Dystans, dzielący rhina od biednego murzyna zmniejszał się w przerażający sposób. Opanowało mnie dziwne uczucie. Jakby jakaś wyższa siła nakazała mi zupełny spokój, dając do zrozumienia, iż odemnie, a raczej od tej jednej kuli, którą mam jeszcze w sztucerze, zależy życie, czy śmierć młodego Wambulu. Prawie że z przyrzutu strzelam do rhina poniżej ucha, — widzę, jak przez mgłę, że nosorożec traci władzę nad swem potwornem cielskiem; robi jeszcze dwa, trzy kroki, słaniając się to w lewą, to w prawą stronę i wali się całym swym ciężarem na ziemię.

Teraz dopiero nerwy wypowiedziały mi posłuszeństwo, — tam, gdzie stałem, siadam w trawę, — słyszę, jak przez sen, że pada strzał obok mnie. Jak długo tak przesiedziałem, trudno mi powiedzieć, przychodzę wreszcie do siebie, — spocony jestem, jakbym z pół dnia przesiedział w łaźni parowej. Myśli zaczynają na nowo pracować, podnoszę się i muszę, mimo drażliwej sytuacji — nie wiem bowiem jeszcze, czy Wambulu żyje, — uśmiechnąć się na widok krzaków, uginających się pod ciężarem wystraszonych murzynów, prawie do ziemi. Bakari przysunął się do mnie. Nie spotkałem w życiu tak warjacko odważnego człowieka, jak ów murzyn Bakari, mimo to widziałem, iż przejścia ostatnich chwil silne na nim wrażenie wywarły. W chwili zaatakowania nas przez nosorożca, Bakari złożył się równocześnie zemną ze sztucera mego Magnum. Pomimo wszystkich swoich zalet ma Bakari pewien błąd poważny, mianowicie chybia zasadniczo każdy cel ruchomy. Służąc kilkanaście lat w wojsku angielskiem i niemieckiem, słyszał tyle razy napomnienia, iż żadnego ładunku nie wolno wystrzelić na marne, to też zmanierował się tak dalece, że mierzy wprost beznadziejnie długo. (Objaw zresztą często spotykany i u naszych żołnierzy). Tak też było i dzisiaj. Bakari nie ruszył się z miejsca. Mierzył — mierzył, wreszcie zdecydował się pociągnąć za cyngiel, gdy rhino już po moim drugim strzale żywot swój zakończył.

Zwołuję murzynów, — przychodzą powoli, wystraszeni, rozglądają się bojaźliwie. Dochodzimy do nosorożca; okazuje się, że młody wambulu w chwili mego strzału się przewrócił i został przez padającego rhina przygnieciony. Towarzysze wyciągają go z mało sympatycznych objęć. Bakari wprawną ręką bada, czy ma wszystkie kości w porządku, i konstatuje, że mu nic nie jest, i widocznie zemdlał z przerażenia i strachu. Pryskam mu w twarz wodą z butelki polowej i wnet kandydat na tamten świat, przychodzi do przytomności. Po za ogólnem potłuczeniem nie poniósł poważniejszej szkody. Robię zdjęcia, poczem wracamy do campingu, — murzyni zachowują się cicho, jakoś dziwnie inaczej, niż wczoraj, mimo iż wiedzą, że i tym razem sowity „bakszysz" ich nie ominie. Najwięcej gorzką minę ma Loa, obdarzony przezemnie i Bakari'ego różnymi epitetami za to, że uciekł z rezerwowym sztucerem.

Kożuszkowo, w marcu 1929 r. JAN PĘTKOWSKI.



Wieńce bawoła — tworzące rekord na Afrykę od 1903 r., — ubitego przez J. Pętkowskiego 11/VI-28 r.
Fot. J. Pętkowski.

# KSIĘGA DŻUNGLI AFRYKAŃSKIEJ.

Księga dżungli leży otwarta przed naszemi oczami. Karty jej są zapisane dziwnymi hieroglifami, a odwracają się same, zawsze nowe dziwy odkrywając przed naszym zdumionym i zachwyconym wzrokiem.

Niedaleko od rzeki spostrzegłem dwa równoległe, głęboko wybite w ziemi rowy. Te rowy wydeptały potężne nogi hipopotamów, udających się na żer do dżungli. Przez nikogo tu niepłoszone, szły daleko do brussy, odchodząc od brzegu o kilka kilometrów. Oglądałem miejsce, gdzie się pasły. Olbrzymy splądrowały dżunglę na znacznej przestrzeni, pożerając trawę i młode krzaczki, a zagiętymi kłami wyrywając z ziemi korzenie drzew.

Można tu było zapolować na te potwory wodne, zaczaiwszy się na brzegu, lub zrobiwszy zasadzkę w dżungli; a jednak nie uczyniliśmy tego. Hipopotam stanowi bowiem totem murzynów Bambara.

Przez haszcze przemykały się, niby olbrzymie widma, duże antylopy bawolce... Pozostawały po nich głębokie, okrągłe ślady, podobne do odbić kopyt mułów. Mniejsze antylopy, sing-sing i son, niby w muzealnej księdze autografów zapisywały na piasku swoje imię, z taką łatwością odczytywane przez tropiciela-murzyna. Opowiadał mi, jak one szły, co robiły, dokąd dążyły i o czem myślały.

Żyrafa przywędrowała tu w roku ubiegłym z bardziej północnych obwodów, gdy ziemia była jeszcze wilgotna po ulewach, i pozostawiła po sobie wężowe linje śladów już zaczynających się zacierać.

W innem miejscu przechodziły dzikie bawoły, znacząc kopytami swój szlak i wskazując swoje rozmiary wysokością gałęzi z odgryzionymi niedawno, młodymi pędami.

Drapieżne koty, wbijając w ziemię ostre, zakrzywione pazury, zapisały w księdze dżungli dzień i godzinę swego pobytu, swoje zamiary i swój odwrót do nieznanych nikomu kryjówek...

Myśliwy, słuchając opowieści odczytywanej z tajemniczej księgi natury, mimowoli odczuwa gwałtowne bicie serca i dreszcz, przebiegający mu po grzbiecie.

Gdy padnie strzał z jego karabinu i gdy tropiciel dobija ugodzone zwierzę, jakiś smutek ogarnia duszę.

Przejdą całe miesiące, a nieznany, czarny myśliwy zatrzyma się na tem miejscu, ujrzawsy ślad dużej antylopy, i będzie mruczał do samego siebie: „Szła ku wodzie..." Stanęła i zaczęła nadsłuchiwać, czujna i naprężona, bo oto widzę, że przednie kopyta głęboko wryły się w ziemię. Nagle zawróciła i uczyniła skok... Tak! tak! Nie widzę śladu przednich nóg, lecz tylne kopyta przecięły ostrym końcem powierzchnię ziemi... Upadła, łamiąc duże gałęzie krzaku... Krew?... tak! Jeszcze nie uspokoiły się zwabione jej zapachem, czerwone mrówki i granatowe, błyszczące żuki... Co się tu stało?

Zadając to pytanie, myśliwy szybko obiegnie całą okolicę, wyjdzie na ślad moich okutych trzewików i bosych nóg tropiciela... Odnajdzie wyrzuconą łuskę naboju karabinowego i — wszystko zrozumie, doczytawszy do końca jeden z rozdziałów księgi.

F. ANTONI OSSENDOWSKI.



Stada gnu. Fot. J. Pętkowski

# Z URALSKIEJ KNIEI.

## POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE.

Prawo myśliwskie, rosyjskie pozwalało tępić i zabijać niedźwiedzia wszelkimi sposobami, prócz trucizny. To też niema prawie sposobu, którymby się ludzie nie posiłkowali, aby upolować niedźwiedzia. Ze sposobów jednak najwięcej używanych opiszę: łapanie w żelaza, polowanie na łabazie, t. j. na czatach, przy padle krowy zamordowanej przez niedźwiedzia i polowanie z psami na barłogu. Masę jednak niedźwiedzi zabija się przy przygodnem spotkaniu z myśliwym. Wiosną, gdy słaby i wygłodniały niedźwiedź opuszcza swe legowisko, przedewszystkiem przeczyszcza się najrozmaitszymi korzonkami, a później, jak to wspomniałem, poszukuję czemprędzej obfitego pokarmu. Pierwszą ofiarą padają gniazda mrówek, które niedźwiedź przeszukuje i rozgrzebuje zawzięcie. Znalazłszy mrowisko, niedźwiedź ślini obficie łapy i wsuwa je głęboko w kopiec. Mrówki ze wściekłością rzucają się na kosmate straszydło, tysiącami przylepiają się do łap niedźwiedzia i natychmiast przezeń są zlizywane.

Myśliwi, znając to upodobanie niedźwiedzia, jeszcze z jesieni rozgrzebują mrowisko, znajdujące się w dzikim i zapadłym kącie lasu i kładą w nie wielkie nastawione żelaza barkowe, poczem zasypują z powrotem igliwiem mrowisko. Mrówki zaś szybko doprowadzają swe mieszkanie do pierwotnego stanu i potrzask zamaskowany jest doskonale. Rzecz prosta, że myśliwy specjalnie zajmujący się łapaniem niedźwiedzi w żelaza, ma ich nieraz po kilkadziesiąt sztuk i zakłada je w miejscach uczęszczanych przeważnie przez niedźwiedzie. Do każdego potrzasku przymocowany jest gruby łańcuch dwumetrowej długości, na którego końcu przytwierdzona jest dość duża kłoda sosnowa, niepozwalająca niedźwiedziowi, w razie gdy dostanie się w żelaza, ujść tak łatwo z potrzaskiem.

Niedźwiedź, znalazłszy na swe nieszczęście mrowisko, pod którem czają się zastawione żelaza, kładzie weń łapę i potrząca czule, nastawioną sprężynę. Potężne żelaza, ostre i najeżone wielkimi zębami, z trzaskiem zamykają mu się na nodze. Straszny ryk pełen wściekłości rozdziera milczącą ciszę lasu i niedźwiedź, oszalały z bólu na trzech zdrowych łapach rzuca się do ucieczki. Napróżno! Okrutnym jest zwierz, lecz jeszcze okrutniejszy i mądrzejszy — człowiek. Umocowana do łańcucha kłoda, prędzej czy później dostanie się między jakieś dwa blisko siebie stojące drzewka i legnie na poprzek, i oto niedźwiedź jest jakby przywiązany. Biedny zwierz wpada poprostu w szaleństwo, i chcąc rozbić nienawistne żelazo przyczyniające wściekły ból, zaczyna walić wokoło o najbliższe drzewa z całej siły ciężkiemi, nieraz do centnara ważącemi, żelazami. I dokąd łańcuch sięga, czyni biedny zwierz w wysiłkach uwolnienia się zupełne boisko. Małe drzewka połamane, potrzaskane, większe i grubsze całkiem z kory obdarte, trawa pogięta i zdeptana, zlana krwią, pianą i kałem, a pośrodku tego obrazu zniszczenia stoi zwierz, niegdyś piękny i wspaniały o pysznem i lśniącem futrze, a obecnie dziki i straszny z otwartą, krwią ziejącą paszczą i wściekłemi, błyszczącemi, jak karbunkuły, oczami, ze skołtunioną i wydartą w wielu miejscach szerścią, wydający ze swej olbrzymiej piersi ryki, takiej bezsilnej wściekłości i bólu, że gdym pierwszy raz ujrzał niedźwiedzia w potrzasku, taki żal schwycił mnie na widok męki tego pięknego zwierza, iż kazałem chłopu-myśliwemu, by czemprędzej dobił swą nieszczęsną ofiarę, a gdy wszystko było skończone i niedźwiedź po śmierci został zwolniony z żelaza, takem z kolei ryknął na chłopa, by zbierał swoje „kapkany" i wracał do domu, że nieborak, zwinąwszy ściągniętą skórę niedźwiedzia w krośni i tymczasowo ukrywszy żelaza, zniknął mi z oczów czemprędzej.

Zdarza się jednak, że niedźwiedź, schwytany kręgami potrzasku na sam koniec palców, poprostu je obgryza, i tem ratuje się od śmierci. Opowiadają też, że niedźwiedź złapany w żelazo, często bywa zjadany przez drugiego niedźwiedzia, który morduje inwalidę i zjada go doszczętnie.

Myśliwy Korepanow opowiadał mi podobne zdarzenie. Znalazł on trupa niedźwiedzia w swym potrzasku z oderwaną i odgryzioną, tylną nogą, której nigdzie w pobliżu znaleźć nie mógł. Zauważył natomiast oddalający się ślad dużego niedźwiedzia. Oczywiście była to sprawka krwiożerczego krewniaka.

Nie wiem tylko, czy mogę temu wierzyć. Zdarza się jednak czasem, lecz nader rzadko, iż niedźwiedziowi uda się rozbić żelaza o drzewo; wówczas uchodzi on, unosząc na swej łapie tylko dwa kręgi potrzasku lub też kawał żelaza głęboko siedzący

w łapie. Opowiadano mi, że pewien myśliwy zabił niedźwiedzia z zupełnie wrośniętym w nogę kawałem żelaza, — resztką potrzasku.

Żelaza zastawia się również przy padle krowy zabitej przez niedźwiedzia. Dawniej chadzano tu na niedźwiedzia złapanego w potrzask z oszczepem, lecz obecnie czyny takie do legend przechodzą.

Oprócz tego, nader powszechne jest polowanie z łabazu, czyli pomostu zbudowanego na wysokości trzech, czterech łokci nad ziemią przy padle zarźniętej przez niedźwiedzia, krowy. Jest to polowanie nader żmudne i trudne. Wszystko bowiem zależy od tego, czy niedźwiedź poczuje myśliwego czy też nie.

Otóż znalazłszy padło zamordowanej krowy, myśliwy w odległości paru kroków buduje pomost, posługując się w tym celu w pobliżu rosnącemi drzewami. Buduje się łabaz w ten sposób, że wybiera się dwa, a jeszcze lepiej trzy, blisko, obok siebie stojące drzewa i na pierwszych gałęziach opiera się mocne drągi stanowiące pierwsze przęsła pomostu. W razie zaś, jeżeli sęków lub gałęzi niema, wbija się w drzewo kliny

ło i dawszy z nim wielkiego susa, znika w przyległym gąszczu. Tam niewidzialny dla strzelca ucztuje spokojnie, a niedoświadczony myśliwy, może sobie „pluć w brodę" i złościć się ile chce, na swoją nieostrożność.

Gdy się idzie na łabaz, należy wziąć z sobą tak zwanego „otwożatiela" (odprowadzającego). Doszedłszy do łabazu, wchodzi się nań, zaś odprowadzający, pogwizdując i pokrzykując od czasu do czasu, wraca do wioski. Niedźwiedź, kierując się ku padlinie, bacznie obwąchuje wszystkie spotkane ślady i jeśli natrafi na ślad jedynie prowadzący do padliny, nie zaś w odwrotnym kierunku, wówczas za nic już do padła nie przyjdzie. Jeszcze lepiej jest, jeśli można przyjeżdżać do łabazu we dwóch konno i włazić na łabaz wprost z konia. Tego ostatniego odprowadza do domu towarzysz.

Ubranie myśliwego musi być dokładnie natarte aromatycznemi gałązkami jodły, podeszwy zaś, w razie gdy się na łabaz idzie piechotą, należy obwinąć płachtą z zawiniętym, końskim nawozem. Usadowiw-



Fot. F. Dołęga Lewandowski.

i na nich opiera się wiązanie. W każdym jednak wypadku, drągi przymocowuje się mocno do gałęzi łykiem. Wszelką robotę przy budowie łabazu, należy wykonywać jaknajciszej, unikając rozrzucania wiórów, drzazg, a przypadkowe wióry i gałęzie obcięte chowa się starannie.

Na poprzeczne drągi kładzie się nieco cięższe drążki, starannie ociosane, na nie ściele się grubo gałązki jodły. Boki łabazu w około obtyka się brzozowemi gałęziami. Jako drabina służy świerk z długo obciętemi gałęziami służącemi jako szczeble tej inprowizowanej drabinki.

Niektórzy myśliwi budują naprzeciw łabazu, za padłem krowy, jakby tarczę z białych drążków brzozowych.

I na jej białem tle, zwłaszcza w czasie ciemnych, jesiennych nocy sylwetka niedźwiedzia rysuje się wyraźniej.

Padło krowy przymocowywuje się do ziemi w paru miejscach mocnemi „kulkami". Robi się to dlatego, że niedźwiedź, przyszedłszy wśród mroku nocy do padła, czasami zupełnie nieoczekiwanie i niepostrzeżenie, a podejrzewając jakąś zasadzkę, chwyta pad-

szy się na łabazie, myśliwy powinien dokładnie zauważyć wszelkie pnie, krzaki i t. p., by w ciemności nie brać ich za niedźwiedzia. Później nabija się starannie broń świeżo przygotowanym ładunkiem, najlepiej kulą ekspansywną, nakłada się na głowę siatkę, chroniącą od dokuczliwych komarów, na ręce naciąga się rękawiczki, i parę razy składa się bronią w kierunku leżącej padliny. Siekierę kładzie się pod ręką, by była w pogotowiu.

Ciszę należy zachowywać jaknajwiększą. Od tego zależy powodzenie polowania.

Powoli las zasypia. Milkną pracowite dzięcioły, ruchliwe, szaro - czarne sikorki, i tylko drozd piśnie od czasu do czasu. Przechodzą długie godziny w naprężeniu nerwów i męczącem oczekiwaniu. Wtem ucho myśliwego chwyta trwożliwy pisk leśnego drozda.

Idzie niedźwiedź.

A stąpa tak cicho, że nie dosłyszy go najczulsze ucho. Zbliża się do swej zdobyczy, jak cień, i tylko ptaszki gdzieniegdzie trwożliwie krzyczące, dają znać, że oto zbliża się straszny rabuś nocny.

Niedźwiedź nigdy nie zdąża wprost ku padlinie. Poczuwszy coś podejrzanego, chytry zwierz zatacza wielki krąg, poczem zalega jak martwy i wśród nocnej ciszy wsłuchuje się w szmer lasów całemi godzinami. Wtedy właśnie myśliwy powinien zamienić się poprostu w słup soli. Najmniejszy szelest, skrzyp łabazu, mocny oddech — i wszystko przepadło; niedźwiedź nie przyjdzie.

Lecz, gdy cisza niczem zamącona nie zostanie i wieje pomyślny wiatr dla myśliwego, wówczas niedźwiedź śmiało zbliża się do padła i rwać je poczyna, mrucząc głośno, mlaskając i dławiąc się żarłocznie pożeranem mięsem.

Myśliwy jaknajostrożniej przykłada broń do ramienia, chwyta kosmaty łeb na świecącą się, fosforyzowaną muszkę i przyciska cyngiel.

Grzmot strzału, wściekły, potężny ryk, szamotanie się, i harczenie krwią, trzask łamanych gałęzi — a później martwa cisza. Serce bije jak młotem, i gotowe wyskoczyć z piersi. Palce nerwowo wpychają w lufy, nowe naboje, a wzrok przebija półcienie białej letniej nocy uralskiej.

Powoli dym się rozchodzi i widać ciemną, ogromna masę nieruchomo leżącą tuż przy zarżniętej krowie.

Bywa jednak czasami, że niedźwiedź od razu bez zachowywania ostrożności, przybiega do padliny. Czynią to przeważnie młode, niedoświadczone niedźwiedzie i one też najczęściej padają od kuli.

Gdy strzał chybi, niedźwiedź znika, jak senne widziadło. Jakby się w ziemię zapadł. To samo robi i ranny niedźwiedź. Czasem jednakże zwierz rozwścieczony powierzchowną raną rzuca się na dym i wspiąwszy się na tylne łapy, stara się ściągnąć myśliwego z łabazu. Wówczas zachowując zimną krew, należy strzelić wprost w łeb zwierza, a jeśli już niema naboiów w broni, to walić co sił siekierą między ślepia, — inaczej śmierć pewna. Są to jednak rzadkie nader wypadki i podobnych, chwała Bogu, nie przeżywałem, bo też nigdy z łabazu osobiście niedźwiedzia nie zabiłem, choć dwukrotnie byłem świadkiem zabicia niedźwiedzia w ten sposób.

Słyszałem jednak opowiadania prawdziwe i straszne. Znałem nawet doskonałego, starego myśliwego, zwanego powszechnie „Miedwieżji Obiedki" (niedźwiedzi niedogryzek), którego ranny niedźwiedź ściągnął z łabazu i okrutnie pokaleczył. Człowiek ten został kaleką na całe życie.

Na łabaz zasiada się zwykle we dwuch i z początku strzela gorszy strzelec, a w razie ,jeśli zajdzie tego potrzeba, to lepszy zaraz za nim poprawia.

Rannego niedźwiedzia, który uszedł po strzale, na drugi dzień dochodzi się z przyprowadzonemi, ciętemi łajkami, które doszedłszy go, stanowią na miejscu. Psy muszą być nader cięte i chwytne, ponieważ niedźwiedź lekko ranny, uchodzi bardzo daleko, nie zatrzymując się nigdzie, i nie opędza się nawet psom, lecz wciąż biegnie, póki mu sił stanie. Gdy niedźwiedź zatrzymany wreszcie zacznie się zaciekle od psów opędzać i jak tu mówią „razdiratsia z sobakami", strzelec podchodzi i strzela niedźwiedziowi w łeb lub pod łopatkę. Jeśli zaś niedźwiedź podniósł się na tylne łapy, najlepszym strzałem, od którego niedźwiedź wali się momentalnie, jest strzał w grdykę, „jabłko Adama".

Trzecim i najbardziej rozpowszechnionym sposobem polowania na niedźwiedzie to polowanie z barłogu, czyli legowiska (gawry).

Myśliwy, znalazłszy jeszcze wczesną jesienią ślady, iż niedźwiedź przygotowuje sobie zimowe leże, oznacza sobie to miejsce, zaciosując jakieś drzewo, i natychmiast oddala się, nie pozwalając psom wywąchiwać śladów i biegać około przygotowanego legowiska. Gdy już śnieg zapadnie, myśliwy odczekawszy kilka dni, przywiązuje do nóg narty, bierze psa na krótką linkę, nabija broń i idzie sprawdzić, czy niedźwiedź zaległ w przygotowywanym barłogu. Doszedłszy do zaciosanego drzewa i będąc w bezpośredniej bliskości gawry, myśliwy, prowadząc psa, zbliża się do niej. Pies ma obowiązkowo przewiązany pysk rzemieniem, by nie mógł szczekać i tem zbudzić śpiącego zwierza. Jeśli pies zawęszy i gwałtownie ku gawrze rwać się poczyna, wówczas można być pewny, że niedźwiedź zaległ w znalezionym barłogu. A za parę dni umówiwszy się z jakimś pewnym towarzyszem, myśliwy uralski, uprzednio wykąpawszy się w łaźni i ofiarowawszy świeczkę swemu patronowi, idzie na łowy.

Strasznem musiało być, naprawdę, polowanie na odyńca, skoro nasi dziadowie mawiali: „Idąc na dzika, gotuj mary, a na niedźwiedzia — łoże", dając tem do zrozumienia, że opolowany niedźwiedź jest daleko mniej niebezpieczny, niż odyniec.

Myśliwi zachowując największą ostrożność i prowadząc psy na linkach, podchodzą do gawry. Przyszedłszy na miejsce, chwil kilka obowiązkowo odpoczywają, raz jeszcze sprawdzają, czy broń nabita, i przeżegnawszy się, podchodzą do legowiska. Jeśli myśliwi mają z sobą dobre psy, to rzucają się natychmiast do czoła „bierłogi" i doskakuję do niej ze wściekłem ujadaniem. Wkrótce głos ich zlewa się z potężnym rykiem obudzonego niedźwiedzia, który co chwila ukazuje się w czole gawry i stara się dosięgnąć łapą atakujące psy. Czasem jednak niedźwiedź, szczególniej gdy zaległ w wykopanej norze, ani myśli pokazać się na świat Boży. A myśliwi całemi godzinami męczą się i pocą, by zwierza wreszcie wygnać.

Więc długimi, zaostrzonymi drągami kłują niedźwiedzia, który ze wściekłością chwyta za drągi i ciągnie je do siebie, a czyni to z taką mocą, że trzeba być nader silnym, by nie upaść tuż pod czoło legowiska. Zdarza się czasami, że niedźwiedź, przełamawszy sklepienie, „niebo" gawry, wyskakuje stamtąd i jak burza, wali się na myśliwych.

Nie mogąc wypłoszyć zwierza, myśliwi zapalają smolne drzazgi lub korę brzozową i wrzucają je do barłogu. Inni zatknawszy na długiej tyce smolną drzazgę, wsuwają ją do barłogu i oświetlają ciemne jej wnętrze, a drudzy przez ten czas strzelają do niedźwiedzia.

Gdy jednak niedźwiedź tym lub innym sposobem zostanie wypłoszony z legowiska, myśliwi strzelają doń, jak tylko ukaże się w „czole" i kładą go trupem na miejscu.

Mylą się jednak ci myśliwi, którzy myślą, że niedźwiedź wyłazi ze swej gawry wolno i spokojnie; przeciwnie, niedźwiedź, gdy zdecyduje się wreszcie gawrę opuścić, z potężnym rykiem, jak piorun wypada



F. D. ze skórą pierwszego swego niedźwiedzia. Ural 1925 r.
Fot. Felicjan Dołęga Lewandowski.

z legowiska wśród tumanu śnieżnego pyłu. Przeważnie rzuca się od razu na psy, zagarniając je pod siebie łapami. Dopiero raniony strzałem, atakuje myśliwego.

Kiepska jest sprawa, jeśli ostatni strzał zawiedzie: wówczas niema ratunku, bo o ucieczce niema mowy. Niedźwiedź biegnie tak szybko, że czasem niefortunny strzelec, nim zamrze huk strzału, widzi straszną paszczę niedźwiedzia tuż przed swą twarzą. Cała nadzieja wówczas na dzielne i chwytne łajki, które dotkliwie szarpiąc niedźwiedzia za kudłate portki i wżerając się w części rodne, osadzaja rozwścieczonego zwierza na miejscu i zmuszają go prawie zawsze do tego, iż zostawia on myśliwego w spokoju i zaczyna zaciekle opędzać się psom.

Poczciwym psom dostaje się nieraz niemało, i niejedne giną śmiercią bohaterską w obronie swych panów, szczególniej gdy śnieg jest bardzo głęboki i jeszcze nie odleżały, a psy w nim się zapadają.

Zdarza się, że gdy w głębokiej jamie zalegla rodzina składająca się z piastuna i młodych niedźwiedziaków, to one, jako młode, a więc tchórzliwe, tak silnie przywarowanym na dnie barłogu, że, o ile myśliwy nie ma psa, a boi się sam zanadto zbliżyć to fortel ten nieraz niedźwiedziakom się udaje.

Niektórzy myśliwi, szczególniej ostjacy i wogułowie, nie dają naumyślnie wyjść niedźwiedziowi z barłogu i strzelają doń w legowisku, uprzednio zabiwszy jego czoło, o ile gawra znajduje się w ziemi, mocnym pniakiem, którego korzenie zatykają albo za rosnące w pobliżu drzewa, albo za specjalnie wbite drągi. Później upatrzywszy niedźwiedzia przez jakąś umyślnie zostawioną szparę, strzelają dopóty, aż wreszcie niedźwiedzia zabiją. Przekonawszy się o śmierci zwierza, jeden z myśliwych z obwiązaną sznurem nogą, którego koniec trzymają towarzysze, aby go wyciągnąć w razie niebezpieczeństwa, włazi do legowiska, zakłada na szyję zabitego zwierza pętlę, a pozostali myśliwi wyciągają zdobycz na światło dzienne.

Ryk niedźwiedzia, gdy rozwścieczony, dręczony trwogą i złością, miota się po swem legowisku, jest doprawdy straszny. Wydobywając się jakby z pod ziemi, sprawia tak przejmujące wrażenie, że ludziom śmiałym, lecz nieprzyzwyczajonym do tego, nogi poprostu gną się ze strachu i przejmujący dreszcz nerwowy trzęsie całem ciałem. Nie jest to bynajmniej trwoga. Jest to tylko nader silne, nerwowe podniecenie spowodowane tym strasznym, do grzmotu podobnym rykiem. Jeśli dodać do tego wszystkiego szaloną odporność niedźwiedzia na rany postrzałowe, jego śmiałość i siłę spotęgowaną wściekłością, to polowanie na niedźwiedzie w barłogu należy zaliczyć do najniebezpieczniejszych.

Pozwolę sobie opisać tutaj moje pierwsze polowanie na barłogu. Było to podczas pierwszego roku mej służby w T. R. Bogosłowskiego Okr. Gór. Umówiwszy się z pewnym myśliwym, Maksymowem, 21 listopada w trzaskający 30-stopniowy mróz, o godz. 4-tej zrana wyjechaliśmy saniami do wioski Podgranicznoj, aby popolować na popielice i ptactwo. Pieski nasze biegły, przywiązane w tyle do sań. Pies Maksymowa, — Chuligan, do tego stopnia gryzł ciągle mego biednego Uralka, że musieliśmy go odwiazać i wziąć na sanie. Później znów o mało co nie udusiła się suczka Damka, która poślizgnąwszy się na lodzie (jechaliśmy bowiem po lodzie rzeki Tury) i nie mogąc wstać, wlokła się za saniami. Było jeszcze zupełnie ciemno i dlatego czas dłuższy nie zauważyłem, co się stało. Przypadkowo jednak spostrzegłem, że linka, na której przywiązana jest Damka, jakoś zanadto jest naciągnięta, i wtedy dopiero ujrzeliśmy, co się stało. Po zatrzymaniu konia rozpięliśmy obrożę i wzięliśmy biedną psinę na sanki. Początkowo wydawała nam się martwą, lecz gdym przyłożył ucho do piersi psiny, usłyszałem bicie serca. Zastosowawszy Damce sztuczny oddech, udało nam się po paru minutach docucić biedne zwierzę i przykryliśmy je futrzanym kocem, położywszy między siebie.

Po tych przygodach zmarznięci na kość, o 7-ej rano przyjechaliśmy do Podgarnicznoj, lichej wioseczki, rzuconej wśród ogromnych borów na brzegu rzeki Tury i składającej się z trzech, czy czterech domostw. Napiwszy się herbaty u znajomego chłopa, ruszyliśmy do tuż leżącego lasu. Śnieg nie był jeszcze głęboki i psy doskonale mogły tropić popielice i ptactwo, to też strzały rozlegały się jeden za drugim. Około g. 12-tej zeszliśmy się i nagarnąwszy śniegu w kociołek, zgotowaliśmy herbatę i przekąsiliśmy zabranymi z domu zapasami. Odpocząwszy, ruszyliśmy w powrotną drogę. Maksymow szedł pierwszy. Wyszliśmy właśnie na stare palenisko zawalone masą powywracanych drzew i zarośnięte młodą porośłą brzozową. Śnieg w tem miejscu był dość głęboki i nieuleżały, to też szedłem noga za nogą, podążając za Maksymowem, który już mnie znacznie wyprzedził. Obejrzałem się za psami. Biegły po moim śladzie o jakieś kilkaset kroków za mną. Gwizdnąłem na nie i już chciałem iść dalej, gdy wtem Uralko biegnący do mnie, zatrzymał się raptem i podniósłszy ostrą swą mordkę na wysoki, opalony pień sosny t. zw. „wiskir", przeciągle szczeknął, a później znikł mi z oczu i chowając się za zwalone kłody, jakoś głucho zaszczekał. Zupełnie tak samo zachowała się Damka. Szczekanie było głuche, tak, iż myślałem, że psy zwęszyły sobola lub kunę i szczekają w dziuplę drzewa, dlatego też głos psów wydawał mi się przytłumionym. Szybko wyciągnąwszy z za pasa siekierę, by wystraszyć zwierzątko, zbliżyłem się do miejsca, gdzie znajdowały się psy. Tu ujrzałem, że Uralko szczeka nie w dziuplę, lecz stoi nachylony i do połowy skryty w jakimś ciemnym otworze znajdującym się pod korzeniami opalonej sosny. Natychmiast domyśliłem się, że psy znalazły gawrę, i złamawszy w tejże chwili broń, zmieniłem naboje, zakładając kulę Jackana.



Myśliwy Woroncow z prawdziwą czremiską łajką.
Fot. F. Dołęga Lewandowski.

Tymczasem zwabiony szczekaniem moich psów, nadbiegł Chuligan i z wielkiego rozpędu prawie że wskoczył do barłogu. Wyskoczył jednak z niego natychmiast, ujadając zaciekle i drapiąc zmarzłą ziemię pazurami. Wszystkie psy brały się ostro i nie wypuszczały niedźwiedzia, który już się obudził i zagrzmiał z pod ziemi potężnym rykiem.

Z podniesionymi kurkami, skryty do połowy ciała za zwalonym świerkiem, oczekiwałem ukazania się niedźwiedzia. Stałem nieco skośnie, o trzy do

czterech kroków od legowiska. Nadbiegł też i Maksymow i spytawszy mnie, czy się nie boję opolować barłogu i czy pewny jestem swej broni i ręki, wyjął siekierę z za pasa i obszedł legowisko dookoła, aby przekonać się, czy niedźwiedź nie zrobił sobie czasem innego wyjścia. Przekonawszy się, że tak nie jest, natychmiast zaczął wyrąbywać wszystkie krzaki znajdujące się przed czołem barłogu. Przez ten czas stałem z przyłożoną do ramienia bronią, gotów w każdej chwili do strzału. Lecz niedźwiedź ani myślał wychodzić i raz tylko ujrzałem go, gdy doskoczył do zbyt śmiało atakującego go Chuligana i uderzył go łapą. Pies odskoczył z głośnym skowytem, zalany krwią. Strzelać jednak nie mogłem, gdyż psy zasłaniały mi cel.

Gdy tyki zostały wyrąbane, zaczęliśmy namacywać i kłuć niemi niedźwiedzia, by go wreszcie z gawry wypłoszyć. Daremne były jednak nasze starania. Niedźwiedź czując, że śmierć go nie minie, nie myślał porzucać swej kryjówki. Nie pomogło też i rzucanie do jamy, zapalonej kory brzozowej i mchu. Miś wciąż siedział uparcie.

Wreszcie poradziwszy się Maksymowa, strzeliłem z prawej lufy drilinga do legowiska. Gdy huk zmilkł, usłyszeliśmy jakby bulgotanie, parskanie i głuche szamotanie się, lecz nie zdążyłem jeszcze odjąć broni od oka, by nowy nabój założyć, gdy z groźnym pomrukiem i fukaniem, z szybkością jaskółki wyskoczył z legowiska niedźwiedź. Przykładając prawie lufy do kosmatej bestji, dałem znów ognia. Niedźwiedź nie zwrócił nawet na to uwagi i ogromnymi susami, zagarniając pod siebie psy, atakujące go zaciekle, zaczął uchodzić w gęstwinę. „Strzelaj, Maksymow!" krzyknąłem.

Maksymow strzelił ze swej ptaszniczki, lecz i po tym strzale niedźwiedź nie zaznaczył, lecz przeskoczywszy przez kłody i łom, znikł nam z oczów. Pamiętam, że w tym momencie krzyknąłem w pasji: „A do djabła, przegapiliśmy niedźwiedzia!" lecz w tejże chwili ujrzałem go znowu, jak z psami wiszącymi nań, jak pijawki, z krwawiącym pyskiem bluzgającym krwią, najeżoną sierścią szedł na sztych do mnie. Wspiąwszy się na tylne łapy, przechodził właśnie przez jakąś zwaloną sosnę. Rozjuszone psy zalane krwią niedźwiedzia i własną, dwukrotnie go z niej ściągały, a niedźwiedź waląc łapami, jak śmigami, parł na mnie. Wreszcie uchwyciwszy moment, wziąłem na muszkę potężny łeb, lecz w tejże chwili niedźwiedź, dawszy potężnego susa, przeskoczył wreszcie przez kłodę i wspiąwszy się znów na tylne łapy, runął ku mnie. Wtedy to przemknęło mi przez głowę: „Jeśli spudłujesz, to śmierć". Znów na muszce widzę wściekle, błyszczące oczy i przyciskam cyngiel. I tu stała się rzecz niespodziewana. Niedźwiedź zamiast paść w ogniu, wielkim rzutem skoczył ku mnie. Czując się zgubionym, rzuciłem się w śnieg (naboi bowiem w lufach więcej nie miałem), aby schować się pod zwalony świerk, za którym stałem.

Przeszła straszna, długa chwila, aż wreszcie:: „Wstawaj, Iwan Antonowicz — zdycha", usłyszałem głos Maksymowa. Wskoczyłem na nogi i otrząsając się ze śniegu, podszedłem do zabitego przez siebie niedźwiedzia. Maksymow obuchem walił go po łbie, a psy, jak zapamiętałe darły i miętosiły mu boki. Z radości uściskaliśmy się z Maksymowem i powinszowaliśmy sobie dobrego pola. Później zaczęliśmy oglądać zwierza. Okazało się, że była to jałowa niedźwiedzica. Skoro tak — to muszą być też i niedźwiedziaki. Dobra nasza. Odciągnąwszy psy od niedźwiedzicy, wepchnęliśmy je do legowiska i wkrótce stamtąd jeden po drugim, wyskoczyły dwa niedźwiadki. Jednego zastrzeliłem sam, drugiego udusiły psy. Były już za duże, by można je było obłaskawić. Gdym usiłował wyrwać drugiego niedźwiadka od rozszalałych psów, bronił się on zajadle i pazurem drasnął mnie dotkliwie w policzek, po czem mi blizna niewielka została. Była już noc głęboka, gdy przy rozpalonym ogniu skończyliśmy obdzieranie ze skóry niedźwiedzicy i wyniósłszy nasamprzód z lasu niedźwiadki i posławszy po skórę i mięso niedźwiedzicy, zasiedliśmy do dobrze zasłużonego odpoczynku.

Trofea tego dnia miałem następujące: Jeden głuszec, dwa cietrzewie, pięć jarząbków, pięć popielic i trzy niedźwiedzie. Rozkład nienajgorszy.

FELICJAN DOŁĘGA LEWANDOWSKI.



Chłopcy wogułowie w zimowniku na rzece Taltja.
Fot. F. Dołęga Lewandowski.

# W SERCU AFRYKI.

7.VI. 1928 R. CAMBIAMAKONGONI.

Dwa dni dopiero nasza Safari posuwa się w „Pori"*). Dzisiaj przed wieczorem przybyliśmy w pobliże wzgórzy skalistych, u których podnóża rozbiliśmy namioty.

Siedząc wieczorem około ogniska przy zastawionym stole z moim towarzyszem wyprawy łowieckiej, p. J. Pętkowskim i przewodnikiem Safari, p. Prinzloo, rozkoszujemy się przecudnym, nastrojowym, iście afrykańskim wieczorem.

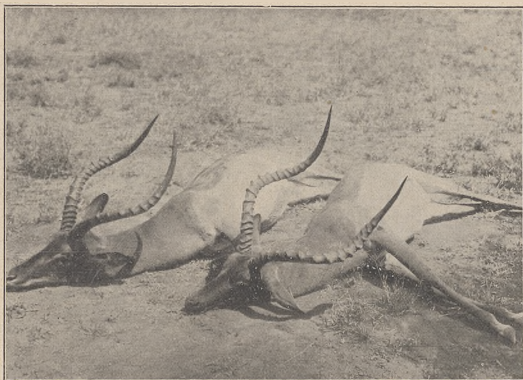
Ogniska rzucają w koło czerwone, jaskrawe blaski, oświetlając niekiedy cały nasz „camp" i grzejących się przy nich, w tem nocnem świetle, wprost fantastycznie wyglądających shikarich i tragarzy. Murzyni ci zawodzą przeciągłe i smętne pieśni, w międzyczasie żarłocznie pożerając niezliczone ochłapy przypieczonego nad ogniem mięsa, z poprzednio przez nas ubitych antylop. Od czasu do czasu wybuchają wesołym, niefrasobliwym śmiechem, widocznie wesołe jakieś historje sobie opowiadają. Miljony gwiazd zabłysły na niebie, innych niż w Europie, jesteśmy przecież poniżej równika! Z oddali dochodzą

*) Pori — tubylcze słowo, oznaczające dzikie, niezamieszkane okolice obfitujące w zwierzynę.

niesamowite, a tak różnorodne wycia hyen; króla tych łowisk, lwa, jeszcze nie słychać. Z ciekawością i pewnego rodzaju emocją, oczekuję pierwszy raz tego potężnego głosu. W pobliżu namiotów mamy stały nocny koncert afrykański, ćwierkanie niezliczonych ilości świerszczy. Wszystko to razem działa kojąco na nerwy i roztacza jakiś nieokreślony, egzotyczny czar.

Jesteśmy już w okolicy, w której spotkać możemy nosorożca, na te więc stworzenia mamy jutro o świcie wyruszyć. Sama myśl o tem spotkaniu sprawia oszałamiającą emocję. Niebywałą też radość odczuwam w ciągu tego ślicznego wieczoru, którego pewnie prędko nie zapomnę, iż nareszcie po tak długiej podróży jestem już w głębi Afryki, w sercu tego Czarnego Lądu, o którym w dziecinnych i młodzieńczych latach tyle już marzyłem, i że w każdej chwili spotkać się tu mogę z najpiękniejszymi i najgroźniejszymi okazami fauny tych niezmierzonych stepów, gór i dżungli.

Mglisty, przenikliwie zimny i ponury, jakby październikowy w Polsce, świt, zastał nas już zebranych przy herbacie. Grzejemy sobie przy ognisku do szczętu przemoknięte, wskutek mgły nocnej, części drzewa cierniowe o charakterystycznych kształtach, przypominających parasole, gdzieniegdzie widać większe i mniejsze kępy różnych zarośli, a co parę tysięcy metrów step poprzerzynany jest wąwozami bardzo gęsto kolczastymi i innymi krzakami porośniętymi, t. zw. tutaj „Korongwo". Po całym tym stepie widać rozrzucone bloki skaliste, niektóre o wielkich rozmiarach, robiące wrażenie, jak gdyby jakaś olbrzymia ręka je tu poprzenosiła. W sinej dali ciągnie się łańcuch gór, z których ku niebu strzelają pojedyncze, stożkowate szczyty o podnóżach gęstymi lasami porośniętych. Słońce przebiło już gęste mgły i nadaje barwny koloryt otoczeniu. Step roi się od licznych stad hartebeestów (kongoni, antylopa krowia) i zebr, widać też trochę strusi i rudle małych gazelli Thomsona. Mijamy tę zwierzynę bez strzału. Tropów lwów w nocy ryczących nie znajdujemy, natomiast drogę naszą krzyżują ślady nosorożców, niektóre świeże, niebawem możemy zwierzęta te spotkać! W czasie gdy zjeżdżamy łagodnem zboczem góry, mając przed sobą rozległy widok, shikari mój Karezi wskazuje odległy step i gorączkowo wykrzy-



Dublet do Impalli. Wtorek 3/VII-28 Kilimarobini. Ubił J. Pętkowski.

naszej garderoby. Nie wyobrażałem sobie, iż tuż koło równika może panować takie zimno, a co gorsze taka wilgoć. Człowiek budzi się w namiocie i ma wrażenie, że nie leży w łóżku, lecz w jakiejś wannie, wypełnionej mokremi kołdrami i prześcieradłami.

W ciągu nocy słyszano ryk dwóch lwów, w tym więc kierunku postanawiamy początkowo się udać. Dosiadamy nasze rumaki w postaci małych, kudłatych mułów i wyruszamy w stepy.

Pochód otwiera nasz główny shikari, jak później przekonałem się, niebywale odważny i energiczny, pochodzi on z wojowniczego plemienia Wahehe i nosi imię Bakhari. Jako tropiciel i znawca zwyczajów zwierząt wykazał później pierwszorzędne zdolności. Za Bakharim posuwamy się my dwaj z przewodnikiem, za nami zaś nasi shikari, niosący bronie moje dwaj o imionach Karezi i Nadi. Pochód zamyka kilku tragarzy.

Posuwamy się po ogromnych, na falistych wyżynach, rozciągających się stepach, porosłych jeszcze bujną i wysoką trawą (nie dawno minęła pora deszczowa) tu i tam stoją, pojedyńczo lub grupami, duże kuje: Kifaru, Bwana (nosorożec, panie)! Przebiega mnie jakby iskra elektryczna! Wzrok nasz kieruje się na wskazane miejsce. Spostrzegam w przybliżeniu na 1500 m. nieopodal dużego drzewa otoczonego stepem jakieś czarno wyglądające zwierzę. Lornetki przekonywują nas, iż sępi wzrok Kareziego nie omylił się; mamy przed sobą dużego nosorożca, który niebawem rusza stępa, za nim zaś z traw wyłaniają się: druga sztuka, trochę mniejsza i trzecia młoda. Za chwilę zwierzęta przechodzą w truchta i zbiegają do niżej położonego lasku. Poganiamy nasze muły, zmuszając je do galopa (co łatwo z temi stworzeniami nie przychodzi) i po paru minutach z biegnącymi za nami, zasapanymi murzynami, stajemy na świeżych tropach, przed chwilą tędy przebiegających nosorożców. Tropy te, jak wyżej już wspomniałem, prowadzą do rzadkiej drągowiny, przechodzącej dalej w coraz gęstsze drzewa i zarośla. Tu zaczyna się dopiero praca dla Bakhari'ego, postępuje on na przedzie, bacznie przyglądając się tropom, często przystaje, bada, czy jest na dobrej drodze, i rozgląda się, czy nie dojrzy jeszcze napewno już niedaleko znajdującej się

zwierzyny. Drzewa, ljany i haszcze robią się coraz gęstsze i przechodzą w prawdziwe dżungle. Nagle B. staje i palcem coś wskazuje! Pętkowski dzisiaj rano wylosował pierwszy strzał! On więc szybko z muła zeskakuje i kieruje swój wzrok w gąszcze. Świadomość, że tuż przed nami stoją jedne z potężniejszych i groźniejszych stworzeń Afryki, robi na mnie bardzo silne wrażenie, zeskakuję też z muła, biorę sztucer do ręki i spoglądam przez lornetkę. Spostrzegam niedaleko między dwoma drzewami ogromny łeb nosorożca, zdaje mi się być dużą sztuką o silnym rogu (mogło to być jednak tylko wrażenie, gdyż spotykając pierwszy raz tego zwierza, łatwo się pomylić). Nosorożec, gdy go się pierwszy raz widzi w dżungli, robi wrażenie jakiegoś przeogromnego potwora, nie z naszej ery, wydaje się dużo większym i straszniejszym, niż jest w rzeczywistości. Zwierzę zdaje się nas słyszeć i węszyć, gdyż uszy jego i nozdrza szybko się poruszają. P. szuka dogodnego miejsca do strzału, w tym momencie rozlegają się potężne, charakterystyczne parskania bestji, która z ogłuszającym łomotem i trzaskiem uchodzi, za nią zaś pozostałe dwie inne. Parskanie tych stworzeń robi na nowicjuszu niezwykle groźne wrażenie, jest ono tak głośne i przejmujące, iż zda się, cała dżungla drży i trzęsie się w posadach. Trzask i tętent lecących nosorożców przez busz lub dżunglę porównać mogę z jakimś wałem, czy inną maszyną łamiącą i miażdżącą las. Dopadamy naszych mułów i pościg trwa dalej. Przedzieramy się teraz przez gęste, kolczaste krzaki boleśnie drapiace i kaleczące, przez trawy ogromne, trzciny i dżungle. Bakhari wprost wychodzi z siebie, w szybkim pościgu przenikliwie, błyszczące jego oczy wpatrują się w coraz to na drodze stojące nam gąszcze. Szybki ten i męczący pochód trwa już pewnie ze dwie godziny, a nosorożców ciągle jeszcze nie widać. Na rzadszem miejscu przebiega stado żyraf złożone z 11 sztuk. Lecą one truchta, zasłonięte nierównościami terenu, widać im tylko łby i imponująco długie szyje. Posuwają się gęsiego jedna za drugą bardzo cicho, miałem wrażenie, że widok ten był tylko złudzeniem. Wchodzimy na dość obszerną polanę. B. zatrzymuje się, ruchem ręki zaznacza, by zejść z siodeł, i oznajmia przyciszonym szeptem o obecności nosorożców tuż przed nami. W środku polany porośniętej wysoką trawą znajduje się zagłbienie, w którem rosną niebywale gęste krzaki i trzcina, przewyższająca znacznie wzrost człowieka. Bagniste to zagłębienie ma kształt podłużny i liczą je na około 40 m. szerokości a 200 długości.

Bakhari stanowczo twierdzi, że w tym to bagnistym gąszczu zatrzymały się nosorożce, i w swej bezgranicznej ufności do białego myśliwego z bronią w ręku, namawia, byśmy w gąszcz ten, w którym literalnie na dwa kroki przed i za sobą nic nie widać, dalej postępowali. Po naradzie z przewodnikiem, dochodzimy do wniosku, że byłoby krokiem wysoce nierozważnym pchać się w zarośla, gdzie stoją nosorożce z młodemi, wtedy bowiem bardzo często szarżują na niepokojącego ich intruza. Łatwo przewidzieć, co stałoby się w razie takiej szarży! O strzale skutecznym w tych haszczach nie mogło być mowy, wchodząc więc tam, łatwo było można nie wrócić. Postanowiliśmy posłać Bakhari'ego ze sztucerem na drugą stronę zarośniętego bagna, by ewentualnie mógł stamtąd zwierzęta spłoszyć i na nas przypędzić.

Zajmujemy we trzech trochę wyższe miejsce, około 30 kroków od gąszczu odległe.

Podczas gdy B. odchodzi, do uszów naszych dochodza odgłosy poruszania się i chlupotania w błocie.

Za chwilę wszystko znowu cichnie. B. znajduje się prawie już naprzeciwko nas, bestje musiały go zawietrzyć, raptem rozlegają się straszliwe parskanie i nieopisany wprost tupot i trzask łamanych gałęzi. Cały ten tętent, jak niepowstrzymany huragan, pędzi prosto na nasze stanowisko. Chwila przepotężnego, nigdy niezapomnianego napięcia nerwów ogarnia mię, z bijącem, jak młot, sercem ściskam gotowy do strzału sztucer w drżących z emocji rękach. Gąszcze przed nami zaczynają się już ruszać, lada chwila wypadną na polanę! Jak na komendę jednak, wszystko ucicha, oczom moim pokazuje się tylko na moment kawałek cielska nosorożca, między krzakami, by natychmiast zniknąć, poczem następuje niczem niezmącona cisza. Silnie zdenerwowani i ciekawi, co dalej nastąpi, oczekujemy bez ruchu, wszystko ucichło, jakby wcale tu nosorożców nie było. Trwa to już przeszło pół godziny. Murzyni nasi dostają rozkaz rzucania kamieniami w gąszcz, po pierwszych paru rzutach, cisza. Naraz, odpowiedzią na dobrze widocznie trafiony kamień staje się przeraźliwe parsknięcie, przechodzące już nieomal w jakiś niesamowity ryk! Następuje dudnienie, łamanie i potwory walą znów prosto na nas. Otwierają się zarośla i kłusa w wysoką trawę wybiega najpierw młoda sztuka, za nią zaś jej matka. (Silny samiec, jak później doniósł nam Bakhari, uciekł w przeciwnym kierunku, przebiegając na kilkanaście metrów obok niego) i oddalają się w ukośnym kierunku od nas. Opuszczam broń, gdyż do samicy przy młodem tylko w obronie życia strzelać wolno.



Zebra, ubita na przynętę dla lwów.
Fot. J. Pętkowski.

Nosorożce biegną równym krokiem, a z trawy wystaje małemu tylko róg, czubek głowy i kawałek grzbietu, wyglądają jakgdyby płynęły. Po chwili stara podnosi łeb i zaczyna wietrzyć, snać coś nie poszło po jej myśli, gdyż raptownie zawraca i biorąc małego za siebie, kieruje się prosto na nas. Podnoszę sztucer do ramienia i mierzę prosto w łeb nadchodzącej bestji. Obok mnie stoi przewodnik też złożony do strzału. Pętkowski zaś zasłonięty gęstymi krzewami, nie widzi, że samica już tak blisko się znajduje, dolatuje ona do mnie najwyżej na 10 kroków i staje, węsząc i machając szybko ogonem (jest to podobno u tych zwierząt oznaka złego humoru). Jak wiadomo, nosorożce b. źle widzą, przekonany jestem, że rozzłoszczona mama naprózno wytęża swoje małe a złośliwe oczki, by nas dojrzeć. Stoję ciągle z wymierzonym sztucerem, a że chwila się przedłuża, ciężka ta broń zaczyna mi w drżących rękach latać; błyszcząca muszka początkowo dokładnie między ślepia zwierza wycelowana zatacza kręgi po całym łbie. Jeszcze chwila, a nie będę już w stanie dobrze strzelić. Na szczęście dla siebie, może i dla mnie, samica po pewnym namyśle zawróciła (jeden krok naprzód, a powitałbym ją swoim strzałem, a ze względu na bliską odległość kula pewnieby nie chybiła celu) i zaczęła się kierować wprost na murzynów. trzymających muły i aparaty fotograficzne, stojących opodal. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, rozwścieczona sztuka gotowa rzucić się na nasze biedne muły, które w międzyczasie czarni z rąk powypuszczali. Scena stawała się komiczną, czarni, jak opętani, porzucali wszystko, co mieli w rę-

kach, między innemi aparaty (na szczęście nie potłukły się) i małpimi ruchami, wydając okrzyki trwogi, powdrapywali się na czubki drzew, muły z podniesionymi ogonami rozbiegły się wkoło. Epilog spotkania zbliżał się, nosorożce po rozpędzeniu gromadki murzynów zrobiwszy duży krąg, ginęły nam z oczu, posuwając się zwolna i prychając prawdopodobnie z zadowolenia, że i dla nich wszystko dobrze się skończyło i całą skórę unoszę.

Po dziesięciogodzinnych łowach jesteśmy z powrotem w obozie. Pierwsze spotkanie z nosorożcami, choć przeszło bez strzału i bez zdobycia cennego trofeum, wywarło na mnie głębokie wrażenie i myślę, że jak życie długie nie zapomnę tych wzruszających wydarzeń dnia dzisiejszego.

Niewysłowioną rozkosz przeżywa się po takiej całodziennej wyprawie, siedząc wygodnie przy kolacji, która zgłodniałemu i przemęczonemu myśliwcowi wydaje się szeregiem najwyszukańszych dań u Ritza lub Larue w Paryżu. Opowiadaniom sobie wrażeń tego wieczoru nie było końca.

JAN KOŹMIAN.



Drop olbrzymi, ubity przez J. Pętkowskiego w Ngorongoro dn. 19/VI-28 r.

# TAŁYSZ.

Jedziemy gęsiego po karkołomnej, kamienistej ścieżynce, na której co chwila napotykamy trudne do przebycia przeszkody. Musimy umiejętnie przeskakiwać przez leżące kłody gnijących drzew, uginać się zręcznie pod nawisłymi konarami kolczastych krzewów, przeciskać się przez ciasne, skalne przesmyki, lub przepełzać pod obwisłą ścianą kamienną, wiszącą nad bezdenną przepaścią. Często przecina drogę niespodziewany, nieszeroki wprawdzie, lecz straszny swą głębią strumień, którego przezrocze wody w szalonym pędzie toczą po swem granitowem dnie, grzmiące, jak daleki huk armatnich wystrzałów, ogromne kamienie. — Mój rozumny siwosz staje nagle, strzyże małemi uszkami, rozdyma chrapki i wolno, ostrożnie stawia na krawędzi przepaści zgrabną nóżkę, próbuje twardości gruntu, a upewniwszy się, stawia drugą, przysiada na zadzie i „skok" — jesteśmy na przeciwległym brzegu przepaści grzmiącego strumienia. Koń parska raźnie, ja ocieram krople obfitego potu z czoła i dążymy za poprzedzającą nas kompanją.

Po przecięciu kilku pasem górzystych, pozostawiamy nasze konie i w dalszą podróż puszczamy się już pieszo. Otaczają nas teraz ciemne, wyniosłe bory, a im głębiej zapuszczamy się, tem są one gęstsze, drzewostan mają wynioślejszy i zwartszy, a niekiedy są tak splecione lianami, bluszczem, winem i podszyte krzewami, że dalszą drogę torujemy sobie kindżałami. Już nie pamiętam, ile przecięliśmy wzgórzy i jarów, gdy znaleźliśmy się w głębokim wąwozie, między wysokiemi górami, gdzie zajęliśmy wskazane nam stanowiska. Stoję na samem dnie jaru, pod pniem azatu, mając po jednej stronie p. Wasilewskiego, po drugiej sędziego K., a po za nami trzech naszych strzelców w przyzwoitej odległości, Kostka, Alego i Kamila. W ciszy słyszę wyraźnie stuk mego serca, a bije ono w tej chwili silniej pod wrażeniem dalekiego odgłosu strzału tałyszów, sygnalizujących nam wytropienie tygrysa. Mimowolny silny dreszcz przebiegł mi po skórze, usta wyszeptały krótką modlitwę, myślą na chwilę pobiegłem stąd daleko, ukochane twarze przesunęły mi się przed oczami, lecz momentalnie powracam do równowagi i gotów staję do spotkania się ze srogim królem tej puszczy.

W tej chwili gdzieś w szczytach gór nademną zakwilił orzeł, w dębinie odezwała się żołna, w suchy sęk dębu zastukał dzięcioł, poczem jeszcze większa zapanowała cisza wokoło. Naraz przeciągnął złotopióry bażant, odezwała się sójka, plotkarka leśna, zawtórzyło jej skrzekowi więcej kumoszek, i podejmując coraz większą wrzawę, zbliżały się ich głosy ku mnie. W zgiełku ptasich wrzasków dochodzi mnie odgłos trzasku łamanych gałęzi i jakby ciężki bieg zwierza. Zamieniłem się w słuch i wytężonym wzrokiem przejrzeć chciałem leśną gęstwinę. Lecz jakiż był mój zawód, gdy zamiast oczekiwanego tygrysa, wybiegła trójka obszarpanych wilków, tak blisko, iż mogłem je lufami dosięgnąć.

Po godzinie nadeszli tałysze z wieścią o przejściu zwierza do sąsiednich rewirów. Idąc na nowe pozycje, napotykamy świeże jego ślady na gliniastym gruncie wyraźnie odbite, w które zaledwie woda sączyć się zaczęła. Były tak duże, że dłonią ich nakryć nie mogłem. Pniemy się znów przez wąwozy i jary na niebotyczne, górskie grzbiety, przerzynamy je wpoprzek i spuszczamy się w wąską dolinę, na której dnie sączy się płytki strumyk, którego dno służy nam czas jakiś za dalszą drogę i ułatwia nam chwilowo pochód.

Lecz i wyżej pniemy się z wielkim trudem, natrafiając na zwały połamanych skał, wywrotów drzewa, tworzących nieraz długie, ciemne tunele nad strumykiem, z tajemniczemi grotami i zagadkowemi czeluściami, a wszystko to spowite pnącą roślinnością i porosłe mchami. Z jednej z takich grot wyskoczył ryś, — z innej wyjrzała na nas para wielkich oczu jakiegoś zwierzątka, które ostro świsnąwszy, zniknęło skwapliwie. Na brzegach większego zbiornika wód widniały liczne ślady racic jelenia i odciski łap większych kotów. Po kilkogodzinym marszu osiągnęliśmy jego cel i zajęliśmy stanowiska; ja — środkowe nad suchem łożyskiem strumyka, koledzy — na skrzydłach. Cisza i spokój niczem niezamącony, najlżejszy wietrzyk nawet nie porusza wiszącej nademną pajęczyny, ni zeschłego listka. Prawie o zmroku nadciągnęli tatarzy, — zwierz dawno wyszedł z matni i w wyższe jeszcze skrył się rejony. Noc się zbliżała, o noclegu wypadało pomyśleć. Tałysze nanieśli suchych gałęzi, z miękkich mchów usłali nam łoża. — Kautz postawił kociołki na ogniu, Kostek ze Skrypnikowem rozstawili czaty ,tatarzy piekli na ogniu kaczany kukurydzy. Po krótkiej wieczerzy, otuleni w dery, zasnęliśmy szybko i smacznie. Zmrok jeszcze panował w lesie, gdy ruszyliśmy na nowe stanowiska. O wschodzie słońca dosięgliśmy szczytu ostatniego pasma gór granicznych, przez które przeszedł ścigany zwierz i bezpowrotnie nam przepadł na perskiem terytorjum. Teraz byliśmy w śnieżnych rejo-

nach, wysokie lasy dawno pozostały za nami, otaczają nas gołe skały, — niskopienne krzewy kolczastego derżyderewa i mniej znanych mi zarośli. Zmęczeni, zniechęceni niepowodzeniem, ledwie wleczemy ociężałe nogi, powarcając w powrotną drogę. P. W. rozciąga nas w długą linję, z załamanemi ku środkowi skrzydłami. Szeroka linja na nierównym terenie często się załamuje, to zbytnio się rozciągając, to znów kurcząc nadmiernie, lecz nawykli do podobnych pochodów, lekcy, jak koty, tatarzy szybko naprawiają każdą niedokładność i pochód sprawnie posuwa się z pochyłości. Nagle prawe skrzydło, gdzie szedł sędzia, drgnęło, skurczyło się ku środkowi i równocześnie obok mego Alego stanęło przy mnie dwóch tałyszów, wskazując mi na występie skały jakiś przedmiot długi, żółtawy. Zanim odnalazłem go przez lunetę, — znikł mi, — pokazał się na krótko na śnieżnej płaszczyźnie niżej, — poczem straciłem go zupełnie z oczu. W kilka sekund potem, pada na lewem skrzydle strzał, rozlegają się głośne krzyki: „Ałłach, Ałłach", jeszcze dwa wystrzały, poczem cisza, przerywana naszym biegiem na zagrożone miejsce.

Na kamiennej płycie stał p. W. opatrujący zakrwawione ramię tatara, a obok na białym śniegu leżała piękna, żółto-czarna, cętkowana pantera (Felis uncia) z puszystym, długim ogonem. Z rozwartej, w dwa rzędy białych kłów uzbrojonej paszczy, buchała jeszcze krwawa piana; zielone, rozwarte ślepie rzucały ostatnie błyski, srogimi pazurami darła kurczowo śnieg i mchy pod sobą, — dogorywała.



Moje młode łosie. Wierchoturje.
Fot. F. Dołęga Lewandowski.

Pantera zamieszkująca całe Zakaukazie, jest niemniej straszna dla ludności od tygrysa, więcej od niego krwiożercza i nigdy nienasycona, zwinniejsza, napadająca na swe ofiary, nawet gdy nie jest głodna, z chęci mordowania tylko, — pnie się po drzewach, skąd czyha na swe ofiary. Raz zakosztowawszy ludzkiego mięsa, staje się plagą danej okolicy, napada na auły, porywa dzieci, rzuca się na dorosłych. — Piękną jej skórę otrzymałem od p. W., który ją zabił, ratując tatara, przez którego była raniona. Na tej zdobyczy kończymy nasze łowy tygrysie, przenosząc się na niziny przymorskie.

Po jednodniowym wypoczynku w Pryszybskim aule przedsiębierzemy wyprawę na niedźwiedzia. W tych południowych krajach ciepłego Zakaukazia niedźwiedź śpi zaledwie kilka tygodni w swym barłogu na początku zimy; w czasie mej tam bytności opuścił już swe leże, był ruchliwy i włóczył się po kniei; widywano go niekiedy na kukurydzanych polach. Bezowocnie zmarnowaliśmy dzień cały w pościgu za nim, mieliśmy go po dwakroć w matni, z której nam się wydarł ostatecznie, raniony przez tatarów i w następnym dniu odnaleziony przez nich; nabyty został przezemnie za 15 rubli.

Pomimo przykrego zawodu w łowach tygrysich i niedźwiedzich, pobyt mój w rejonach ich stałego zamieszkania ma dla mnie urok wielki i z przyjemnością wspominam niezwykłe wrażenia, które tam przeżyłem. Jakże chętnie pragnąłbym raz jeszcze zajrzeć tym niebezpieczeństwom w oczy, widzieć te dzikie puszcze, te góry i wspaniałe lasy!

Dziś polujemy na wszystko, co nam na strzał wyjdzie, a w pięknej kniei ma być zwierza dużo. Wkrótce mieliśmy się o tem przekonać. Staliśmy nad brzegiem głębokiej rzeki, mając ją po za sobą, a party przez nagankę zwierz, nie chcąc iść w wodę, tłukł się po brzegu i wpadał pod nasze strzały. Szczególniejszem szczęściem mógł dziś pochwalić się p. Wasilewski, miał on dziś „swój dzień". Gdziekolwiek stanął, nad wodą, w błocie, w gęstwinie lub na odkrytej polanie, zwierz parł na niego naoślep i padał od celnych jego strzałów. Miał już 3 dziki, perskiego czubatego kozła i kilka sztuk drobniejszej zwierzyny i ptactwa, gdy my z sędzią Kł. zaledwie mieliśmy po 1 szakalu i zającu. Na jednem z następnych stanowisk szczęście i nam się uśmiechnęło: ja zabiłem ślicznego, burego lisa, sędzia równocześnie rzadkiego, rudego, pręgowatego, trzcinowego rysia i po kilka sztuk szakali i bażantów.

Nieszczęśliwszym był dla mnie dzień następny. Gdy trzymam w garści sztucer, przeciąga mi nad głową lśniący bażant, kula żałośnie jęknie w powietrzu, a chybiony ptak pokazuje mi swój wspaniały ogon i przelata dalej. Biorę śrutówkę Tesznera do ręki; wyłazi obłocony odyniec, osypuję go gęsto śrutami, zwierz kwiknie, podskoczy, i zakrywa go knieja. Stoję zapatrzony w kołującego nademną berkuta i nie zauważam pięknego puhacza, który siadł nademną; dopiero wrzask i skrzek sójek otaczających go, zwraca mą uwagę; strzelam, a widząc, że raniony ujść mi jeszcze może, poprawiam z drugiej lufy, lecz w tej chwili rozginają się gęste krzewy przedemną i wypada na kulawy sztych piękny, rogaty jeleń. Zanim zdążyłem nabić wystrzeloną fuzję, jelenia już nie było. Polując jeszcze dni kilka w Pryszybskiej okolicy z rożnem szczęściem, musimy wreszcie powracać do Lenkorania, gdzie pana W. i sędziego powołują ich zajęcia. Serdecznie żegnani przez biednego Skrypnikowa, którego w miesiąc po mej bytności znaleziono rozszarpanego w lesie przez dzikiego zwierza, lub zabitego przez bandę kurdów, powracam 12 stycznia z poważną zdobyczą skór, głów zwierzęcych i spreparowanego ptactwa.

Ponieważ z powodu ciepła i ostatnich deszczów, droga zupełnie się zepsuła i jechać musieliśmy wolno, więc we dwójkę z sędzią i Kostkiem większą część drogi robimy pieszo, polując na spotykane na błotach ptactwo, a było go wszędy dosyć. Największą przyjemność robiło nam strzelanie do tutejszych zajęcy, siedzących niemal w każdej większej i suchszej kępie sitowia. Spłoszony zając rzuca się w wodę, by znów ukryć się w najbliższych trawach; jest tak głupi, że dotrzymuje na kilkanaście kroków. Zabiliśmy też ich kilka z sędzią. Mieliśmy już sporo upolowanego, wodnego i błotnego ptactwa, gdy w pobliżu morza z oczeretów zerwało się stado 20 sztuk pięknych, błękitnych ptaków, lotem, wielkością bardzo zbliżonych do naszych pentarek. Gdy opuściły się na połamane trzciny, poszedłem za nimi. Uchodziły szybko i zręcznie, przebiegając po powierzchni zwartych zarośli, i zaledwie zdołałem zbliżyć się na 100 kroków i wystrzelić dwa razy. Po drugim strzale jeden z ptaków pozostał w tyle, poszedłem po niego i tu o mało nie uległem wypadkowi. Nie spuszczając z oka uchodzącej mi zdobyczy, wpadam po pas w grząskie błota; im więcej staram się wydostać

z dołu, tem więcej pogrążam się w niem, i gdyby nie Kostek, który nadbiegł z ratunkiem, byłbym po szyję zanurzył się w topielisko wciągające mnie w swą bezdnię. Moja „sułtanka" (porphyrio) okazała się najpiękniejszym samcem cudownie lazurowego, lśniącego koloru, z czerwonym dziobem i takiemiż długiemi, półpłetwiemi nogami, kształtem zupełnie do zwykłych łysek podobna, których jest południową przedstawicielką.

O zachodzie słońca stanęliśmy w aule Kumbaszi, gdzie w czasie zmiany pocztowych koni zwiedzamy „rybny promysł", należący do Nowego Afonu, prawosławnego klasztoru północn. Kaukazu. Zdumiony byłem masą przygotowanego przez monachów kawioru i stosami wędzonej ryby. Podano „trójkę" i ruszamy w dalszą podróż do odddalonego stąd o 18 wiorst, Lenkorania. Równo z ostatnimi promieniami zachodzącego za górami słońca, zaczynają się ciągi ptactwa z morza na słodkie wody wielkiego jeziora Morcy i wpadających doń rzek. Z krzykiem, wrzaskiem i skrzekiem podnoszą się z morza niezliczone, zbite masy przeróżnych odmian i gatunków ptactwa, różnej wielkości i barwy. Ciągną tabuny szarych kaczek, trójkątne klucze smętnych gęsi, grupy białych łabędzi i piękniejsze nad wszystko, długie sznury pelikanów falujących w swym locie, jak olbrzymi ogon białoróżowego latawca, mieniącego się kolorami w blaskach niknącego słońca. Jako kontrast prawdziwy tego pięknego widoku, zjawia się czarny kormoran, jak krzyż żałobny na tle błękitnego nieba, ciągnący śladem pelikanów na żerowisko.

Nadciąga ku nam długi klucz gęsi, jest jednak tak wysoko, że widząc me przygotowanie się do strzału, p. W. uważa strzał za szaleństwo i nie radzi psuć darmo prochu. Nie wytrzymałem i palnąłem z dwóch luf. Pierwsza sztuka odbiła się zaraz od towarzystwa, druga, ładny gąsior, spadł tuż przed końmi, które zlękłszy się, o mało nas nie wywróciły razem z naszym wehikułem. Strzały te zaimponowały mym kolegom, lecz nie były dziś ostatnie. Padł wielki kormoran od podobnie śmiałego strzału. Jak wyżej wspomniałem, szlak Teherańsko-Bakiński prowadzi na długiej przestrzeni tuż nad samym brzegiem płytkiego morza, tak, iż w czasie burzy fale jego zalewają całą drogę, wyrzucając razem z pianą na piaszczystą drogę masę ryb. Ta obfitość łatwego pożywienia ściąga tu z pobliskiej, przydrożnej dżungli, całe gromady płaczliwych szakali i lisów, na które znów poluje pantera. Gdy tylko zmrok zalegnie nad dżunglą, z tajemniczego jej wnętrza wypełza ze swych smrodliwych nor cała zgraja tych wstrętnych i natrętnych stworzeń, wałęsająca się wzdłuż pobrzeża morskiego za zdobyczą. Są przy tem tak śmiałe, że przyciśnięte głodem, zaglądają do rybackich szałasów, i jak mi mówiono, śpiącym niekiedy objadają rzemienie u łapci.

Na białym piasku drogi, mimo ciemności wieczoru, widzę blisko naszej bryki kręcące się szakale, a że nie zdają się zwracać uwagi na nasze zbliżenie, podjeżdżamy je blisko. Strzelam do pierwszego. Płaczliwy krzyk upewnia mnie o trafności strzału. P. W. polując w podobny sposób, nieoczekiwanie zabił pod samem miastem panterę polującą na szakale.

Obecnie przenosimy nasze łowy w okolicę płaską, pełną jezior i lasów. Dziś jesteśmy na wodach jeziora Morcy. Ogromny ten zbiór wód słodkich, zasilany mnóstwem górskich potoków, ma kilkanaście wiorst przestrzeni i połączony jest rzeką Kumbaszi z morzem. Kilka lekkich dłubanek-czółen unosi nas raźnie po cichej, lustrzanej tafli jeziora, zalanej blaskiem słonecznym. W malowniczych, licznych grupach, na całej powierzchni zwierciadlanej toni, bujają spokojnie stada kaczek, gęsi, łabędzi i kilka pelikanów w towarzystwie nieodłącznych kormoranów. Co chwila rozlegają się wesołe kwakania kaczorów, metaliczny dźwięk pokrzyku-łabędzia, skrzek czapli stojącej spokojnie w komyszach, lub ośli ryk pelikana. Długo nie śmiałem zakłócać strzałem tej harmonji ptasiego współżycia. Po mym dublecie do zrywającego się stada gęsi, nad jeziorem uniosła się ciemna, ruchliwa chmura zasłaniająca z wrzaskiem i szumem słoneczną jasność, a gdy padło jeszcze kilka strzałów, rozpierzchło się wszystko i cisza zaległa wokoło. Teraz każda łódź obrała inny kierunek, moją poniósł prąd niewielkiego strumyka w labirynt krętych uliczek, między wysokie oczerety i wiklinowe zarośla. Na jednym z zawrotów stała śnieżnej białości czapla (Ardea alba) z głęboko między skrzydła wciśniętą szyją i nastawionym, jak ostra szpada, dziobem do ataku przeciw bujającej nad nią kani. Wyczekawszy uderzenia napastnicy na swą ofiarę, położyłem obie trupem. Mniej byłem szczęśliwy w strzale do sułtanki, która postękiwała w trzcinach. Padła w szuwary zabita, lecz dojść i podnieść okazało się niemożliwe.

WŁ. CZERNIEJEWSKI.



Ja w kostjumie wogulskim. Psy Ural i Kama.
Fot. F. Dołęga Lewandowski.

# Z myśliwskiej wyprawy do Afryki Środkowej na Citroënie.

...Gadem widzi zawsze dzikie zwierzęta tam, gdzie ich niema, i nie widzi ich tam, gdzie są. Przebiega step ze swymi jeźdźcami, jako straż przednia lub boczna, powracając z powagą, aby zdać sprawę z obecności słoni bardziej na prawo, lub bardziej na lewo, zaznaczając słabą nadzieję ich spotkania.

Rozumiejąc, że ten wieczny pech poczyna nas gniewać, wraca z jednego wywiadu, trzymając tryumfalnie w ręku masę brunatną niedwuznacznego wyglądu.

— Świeży nawóz — oświadcza Maigret, jako znawca. — Stado musi być blizko.

Gadem pozostaje niewzruszony i objaśnia nam, iż musi najpierw zbadać tropy słoni, a następnie dopędzi nas przy jeziorku Kunduma, gdzie zatrzymujemy się w południe.

Plan ten wydaje się nam rozważny. Umieszczamy się w cieniu wielkiego, zielonego drzewa, które króluje nad błotną przestrzenią. Nie widać wody ani wysokich traw...

Po śniadaniu w oczekiwaniu Gadema strzelamy do wodnego ptactwa: białych czapli i pelikanów. Gadem przybywa o czwartej i w grzecznych, ale niejasnych zdaniach tłomaczy ucieczkę słoni na wschód oraz niemożność dopędzenia ich.

Maigret oświadcza:

— Ten człowiek nie jest kłusownikiem, lecz obrońcą zwierzyny; stara się nam przeszkodzić w uszczupleniu zwierzostanu rezerwatu Kresz.

— Sułtan, Gademie, mówił nam o Tobie, jako o największym łowcy. Sułtan zna cię zapewne źle, skoro nie umiesz dopędzić zwierza, którego trop napotkasz.

Pocisk trafił celnie. Gadem prostuje się pod wpływem tej obelgi:

— Daj mi pięć dni i pozwól mi jechać samemu ze swymi ludźmi. Jeśli ci nie przywiozę dowodu, iż ubiłem słonia, możesz mi wówczas powiedzieć, że nie jestem prawdziwym myśliwym.

Zezwalamy mu na to. Przed odjazdem posyła po wodę dla swoich koni. Dwaj wysłańcy powracają wkrótce, składając nam u nóg wspaniałego pytona długości 4 metrów, ubitego dzidą w chwili, gdy się na nich zamierzał rzucić.

— To symbol! — woła Maigret. — Zobaczycie, że odtąd szczęście uśmiechnie się do nas!

I jakgdyby na poparcie tych słów jeden z nas zabija na odległość 220 m. wielkiego, dzikiego kota, który w wieczornym zmierzchu skradał się ku jeziorku...

Nazajutrz przybywamy do Am-Dafok.

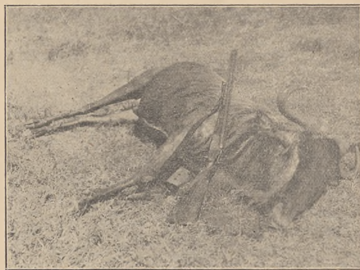
Stada antylop pasą się dokoła bagna, a raczej na bagnie, które ma wygląd wielkiej łąki usianej kałużami wody błotnistej.

„Tetel" — mówią krajowcy, wskazując na stada tak liczne i tak spokojne, iż mimowoli szuka się niewidzialnych pasterzy. Tetel to nazwa miejscowa antylopy Jackson, bardzo obfitej w tej okolicy.

Zatrzymujemy się wśród palm w miejscu, z którego obserwować można znakomicie całe bagno i otaczający step.

Obiadujemy z wielkim apetytem. Noc zapada. Cisza i samotność trwa krótko. Przerywa je najpierw jęk szakala, potem wołanie puhacza, z którego szydzi hyena, wybuchając złym, szatańskim śmiechem. Wreszcie, jakgdyby przyzywając wszystkich do porządku, podnosi się głos groźny i głęboki: ryk lwa! Po ryku tym wszystko pogrąża się w ciszę...

G. M. HAARDT i L. ANDONIN-DUBREUIL.



Gau. Fot. J. Pętkowski.

# POLSKA WYPRAWA ŁOWIECKA DO TANGANYIKA TERRITORY (Angielska Afryka Wschodnia).

W roku ubiegłym, czerwcu i lipcu, dwuch polskich myśliwych: Jan Koźmian z Wierzchowisk i Jan Pętkowski z Kożuszkowa, odbyli wyprawę myśliwską w Afryce Wschodniej (Mandat Angielski Tanganyika).

Teren wyprawy łowieckiej leżał na zachód od góry Kilimandżaro w kierunku jeziora Victoria i rozciągał się poprzez stepy Massai, krater Ngorongoro, oraz stepy Serengetti. Wyprawa posuwała się t. z. „Safari" (piesza karawana, złożona z tragarzy, niosących bagaż i trofea na głowach) przez stepy, płaskowzgórza i lasy, przebywając około 2000 klm.

Ogólny rozkład zwierzyny kulowej ubitej w ciągu niespełna dwóch miesięcy, wynosił 232 sztuki i zawierał następujące gatunki:

Nosorożce, bawoły, lamparty, elandy, waterbuck, topi, impalla, bushbock, gazella Granta, gazella Thomsona, reedbock, moutain Reedbock, wildebeest, hartebeest, zebra, steenbuck, dik-dik, hyeny, szakale, strusie, dropie, orły i inne. Schwytano dwa młode lewki żywcem, które się świetnie w majątku p. Pętkowskiego chowają.

Śrutem upolowano dużo rozmaitych ptaków i małych czworonogów. Lwów widziano ogółem 25 sztuk.

# WĘDRÓWKI AFRYKAŃSKIE TEODORA ROOSEVELTA.

Mówić będę o Afryce i wielkiej swej radości: radości z wędrowania po odludnych krajach, radości z polowania na potężne, straszliwe władce pustyni, na chytre, ostrożne i złe.

W tych największych z wielkich terenów myśliwskich świata znajdują się szczyty gór, których śniegi pod słońcem równikowem lśnią w oślepiającym blasku; trzęsawiska, w których muł paruje pod żarem palącym i bulgocze; jeziora wielkości morza, niebo rozpostarte nad stepem, którego pustka niezmierzona wywołuje we wzroku ludzkim łudzące obrazy, Fata Morgana: rozległe obszary, na których palmy i drzewa cierniowe rosną nad brzegami rzek; potężne źródła, wybuchające z głębin ziemi; bagna okropne, bezkresne i lasy wspaniałej piękności, w których głębi ciemnej, milczącej czyha śmierć i zagłada.

Niektóre okolice są tak zdrowe, jak kraje północne; inne znów zachwycają wspaniałością barw jaskrawych kwiatów, ptaków i motyli, odurzając swą

wonią słodką a duszącą, lecz w tej piękności są one złudne, niosąc zagładę życiu ludzkiemu. Na lądzie i w wodzie przebywają straszliwe zwierzęta, które pożerają mięso ludzkie; pośród zaś drobnych stworzeń, pełzających i fruwających, kłujących i kąsających, człowiek znajduje armię wrogów, o wiele gorszych i bardziej śmiercionośnych, niż wszelkie czworonogi lub gady; wrogów, niszczących jego siewy i bydło, wrogów, których ofiarą padają setki tysięcy ludzi.

Rasy ciemnoskóre, zamieszkujące tę krainę, są bardzo różnorodne. Niektóre to wojownicze, pasterskie nomady, inne uprawiają rolę i mieszkają w chatkach słomą krytych, kształtu uli pszczelnych; jedne utrzymują się z rybołówstwa, a inne znowu, to dzicy, nakształt małpy, przebywający w lasach i poszukujący łupu śród zwierzyny, która nie jest o wiele od nich dziksza i nie stoi o wiele niżej pod względem rozwoju umysłowego.

Na lądzie roi się od zwierzyny łownej; ilość jej jest niezliczona, a rozmaitość nieprawdopodobna. Afryka gości najokrutniejsze drapieżniki i chyżonogie, najtchórzliwsze stworzenia, żyjące w bezprzestannym strachu przed napadem i szponami silniejszego. Gości ona największe i najdrobniejsze zwierzęta kopytne. Gości olbrzymie twory, wędrujące po ziemi lub pływające w rzekach; a jednocześnie gości dalekie krewne tych samych stworzeń, niewiększe, niż bobaki, przebywające w szczelinach skalnych i na wierzchołkach drzew. Niektóre antylopy są mniejsze, niż zające, inne większe od wołów; niektóre stworzenia są ucieleśnieniem powabu, inne natomiast to potwory olbrzymie, wstrętne, jak zmora dusząca. Na stepach roi się od stad rzadkich i pięknych zwierząt, którym podobnych niema nigdzie, jak również od innych, jeszcze bardziej niezwykłych, które zarówno co do wyglądu, jak i usposobienia, mają w sobie coś fantastycznego i groteskowego. Jest to przyjemność bezgraniczna oglądać ogromne stada antylop, gdy wałęsają się w swej niezliczonej mnogości, gdy pod lśniącym blaskiem i żarem słonecznym odpoczywają w południe; gdy długimi szeregami, jeden po drugim udają się do wodopoju; gdy żerują i walczą, odpoczywają i bawią się razem.

Myśliwy, wędrujący po tych okolicach, widzi rzeczy, które na wieczne czasy pozostaną mu w pamięci. Widzi niezgrabnego hipopotama, krążącego koło statku i zanurzającego się w wodzie; żyrafę, spoglądającą po nad wierzchołki drzew na zbliżającego się jeźdźca; strusia, uciekającego z chyżością niedościgłą; widzi pomrukującego lamparta i skłębionego węża olbrzymiego o niszczycielskiej wspaniałości; zebry, rżące w świetle księżycowem, gdy obładowane karawany przeciągają nocnym pochodem przez obwód bezwodny. W późniejszych latach budzą się jeszcze wspomnienia o atakującym lwie, o szarem, ogromnem cielsku słonia, który tuż przed nami wyłonił się w ponurym lesie: o bawole, którego chytre oczy wyglądają z pod czaszki o wspaniałych rogach; o okrutnym ,tępym nosorożcu, stojącym w jaskrawym blasku słońca na gołym stepie.

O tych rzeczach można opowiadać. Ale niema słów, które określiłyby utajonego ducha pustyni i odsłoniły pełnię tajemniczości, melancholji ogarniającej człowieka, i czaru zawsząd płynącego. Coś porywającego jest w tem swobodnem życiu w wolnej przyrodzie, w długich jazdach konnych, ze strzelbą w ręku, w podnieceniu walki z niebezpiecznym zwierzem. Zupełnie innego rodzaju, a jednak z tem związany, jest wielki urok głuchej ciszy, wielkiego księżyca podrównikowego i błyszczących, jakby nowych obrazów gwiezdnych, gdzie wędrowiec ma przed sobą wzniosły widok wspaniałego wschodu i zachodu słońca na dalekich, pustych równinach ziemi, na której stopa ludzka nie stanęła i która nigdy, jak wieczność długa, nie zmienia swego wyglądu zachwycającego.

## KOLEJ PRZEZ PLEISTOCEN.

Wielki ruch historyczny, który rozpoczął się podróżami Kolumba i Vasco da Gama, a trwa dotąd z coraz większą szybkością i w sposób coraz więcej skomplikowany, stał się też niezmiernie ciekawym. Nigdzie jednak ruch ten nie ma objawów tak zdumiewających, jak tam, gdzie znać te olbrzymie skoki cywilizacji, gdyż w zwykłych warunkach rozwój stopniowy obejmuje liczne wieki, a tu wszystko działo się niemal nagle. Wciąż też bywaliśmy świadkami, jak w krajach zupełnie nowych dla przybyszów europejskich, pustynia zamieniała się w terytorjum o wysokiej cywilizacji. Nigdzie i nigdy wszakże przeciwieństwo zestawienia nie było tak uderzające i rzadkie, jak w angielskiej Afryce wschodniej podczas ostatnich lat dwunastu.

Kraina ta leży tuż pod równikiem, a za nią w głębi na zachód leżą olbrzymie jeziora Nyanza, rozległe jeziora środkowe, źródła białego Nilu. Ten kraj w głębi z jego jeziorami i bagnami, górami o szczytach śniegowych, płaskowzgórzami wysokiemi a gołemi, oraz lasami o ogromnej bujności,— był przed półwiekiem zupełnie nieznany białym. Mapa Ptolomeusza z drukiego wieku naszej ery przed-



Młodzi massaje.
Fot. J. Pętkowski.

stawia dokładniejszy obraz jezior, gór i źródeł Nilu, niż mapy, które wydrukowano na początku drugiej połowy 19 wieku, bezpośrednio przed tem, nim Speke, Grant i Baker przedsięwzięli swe wielkie podróże badawcze. Po tych badaczach nastąpili inni; wtedy zaczęli podróżować misjonarze, kupcy i łowcy słoni, oraz wiele osób, których nie przestraszyły niebezpieczeństwa ani trudy żadne; przebyli oni kraj we wszystkich kierunkach z tej lub owej przyczyny, już to jako przyrodnicy, już jako geografowie, to znowu jako urzędnicy państwowi lub zwyczajni podróżnicy, miłujący takie życie niezwykłe, dzikie, pozostałe po dawno minionych czasach.

Większość plemion stanowią dzicy; lecz tu i ówdzie wyróżniają się rasy wyższego typu, a w Ugandzie, z tamtej strony Viktoria Nyanza i w obwodzie źródeł właściwego Nilu, żyje lud, który doszedł do wyższego stopnia kultury barbarzyńców i o którym prawie rzec można, że osiągnął jakby rodzaj półcywilizacji. Nad tym ludem, na jego szczęście, Wielka Brytanja rozciągnęła rządy ochronne w celu uzyskania łatwego przystępu do tej nowej forpoczty cywilizacji w sercu ciemnej części świata, — wybudo-

wała kolej od starego miasta nadbrzeżnego, arabskiego Mombasa na zachód do Viktoria Nyanza.

Kolej ta, będąca ucieleśnieniem naprzód kroczącej, ogromnej, materjalistycznej cywilizacji czasów obecnych, szła przez krainę, w którą przyroda, zarówno pod względem dzikości mieszkańców, jak i zwierząt dzikich, nie ustępowała w niczem Europie za czasów późniejszego pleistocenu. Porównanie nie ma w sobie nic fantastycznego. Niezliczone mnóstwo dzikich stworzeń, zdumiewająca wielkość niektórych z nich, okropny charakter innych i niska kultura wielu plemion dzikich, zwłaszcza ludów myśliwskich, — przedstawiają, ogółem biorąc, stosunki życiowe, jakie panowały w Europie za naszych praprzodków, na wieki przed zjawieniem się czegoś, co możnaby było nazwać cywilizacją. Wielkie zwierzęta, które teraz spotykamy w Afryce wschodniej, były w owych czasach zamierzchłych reprezentowane w Europie przez swych bliskich krewnych, a w wielu miejscowościach do tej pory zamieszkują w Afryce śród zwierząt tubylcy nadzy i uzbrojeni, jak nasi praojcowie przedpotopowi; taki człowiek dziki żyje ze zwierząt, trwając w ustawicznym przed niemi strachu, jak to bywało u ludzi, którzy widzieli w lwie jaskiniowym przerażającego czarta, a którzy jednak, o ile można było, zdobywali łupy w postaci mamutów i wełnistego nosorożca, co prawda w najokropniejszym strachu i niebezpieczeństwie.

Kraina ta, ten wielki odłam dawno minionej przeszłości naszej rasy, jest teraz dla każdego dostępna przez kolej żelazną; i dla myśliwego, oraz przyrodnika niema powabniejszego terenu, gdyż sam on wywołuje zaciekawienie zwykłego podróżnego tysiącznymi sposobami. Dnia 23 marca 1909 r. rozpocząłem podróż w te strony od New-Yorku, zabierając wyprawę naukową, wysłaną przez Smithsonium, żeby dla Muzeum Narodowego w Waszyngtonie zbierać ptaki, ssaki, gady i rośliny, głównie zaś egzemplarze grubej zwierzyny. Oprócz mnie i mego syna, Kermita (który przed paru miesiącami wstąpił na Uniwersytet Harvarda) towarzystwo podróżujące składało się z trzech badaczy przyrody: lekarza generalnego, pułkownika Edgara A. Mearnsa, p. Edmunda Hellera z Kalifornji i p. J. Aldena Loringa z Owego, New-York. Przygotowania do mej podróży porobili głównie dwaj cenni przyjaciele angielscy, p. Frederick Courtney Selous, największy na świecie myśliwy na grubą zwierzynę, i p. Edward Nord Buxton, również tęgi myśliwy. Po wylądowaniu mieli się do nas przyłączyć pp. R. J. Cuningham i Lislie Tarlton, obaj słynni myśliwi; ostatni był australczykiem, który uczestniczył w wojnie południowo-afrykańskiej; pierwszy z pochodzenia szkot, który studjował w Cambridge, lecz oddawna już przebywał w Afryce i przez długi czas zawodowo się zajmował polowaniem na słonie.

Odjechaliśmy na „Hamburgu" z New Yorku — a w Neapolu wsiedliśmy na „Admirała", należącego do innej linji niemieckiej „Ostafrika". Na obu okrętach było nam bardzo wygodnie i podróż przeszła bez żadnych przygód. Tu i ówdzie, jak na wyspach Azorskich, w Suezie i Adenie, trzej przyrodnicy wylądowali i zebrali kilka tuzinów ptaków, które nazajutrz wypchano i preparowano w mojej kajucie, jako największej i najodpowiedniejszej. Gdyśmy dotarli do Suezu, zanikał śród pasażerów typ zwykłych podróżnych; na ich miejsce zjawili się włoscy oficerowie, który udali się do odludnego miasta nadbrzeżnego na granicy Somalilandu, misjonarze niemieccy, angielscy i amerykańscy, cywilni urzędnicy portugalscy, kupcy rozmaitych narodowości, plantatorzy i urzędnicy wojskowi, oraz cywilni, wyznaczeni do niemieckiej lub angielskiej Afryki wschodniej. Pośród anglików znajdowali się plantatorzy, sądownicy, urzędnicy leśni, urlopowani oficerowie z Indyj i inni oficerowie, którzy wybrali się w odległe kraje, gdzie flaga angielska oznaczała jedyne życie kulturalne, żeby tam objąć komendę nad czarnymi oddziałami wojsk tubylców. Była to dzielna gromadka młodych anglików; przypominali mi naszych rodaków, których nazwiska amerykańskie tak zaszczytnie się zapisały już to na stanowiskach cywilnych, już wojskowych na Filipinach i na Porto-Rico, przy robotach kanału Panamskiego, w zarządzie celnym w San Domingo, lub jako żołnierze armji okupacyjnej na Kubie. Pozatem miałem wrażenie, jakbym większość ich już znał dawno z opisów Kiplinga. Natomiast mniej znane mi były interesujące również typy niemców, plantatorów, urzędników cywilnych, oficerów, którzy mieli objąć komendę nad oddziałami białych lub tubylców. Byli to ludzie niewątpliwych zdolności i siły wykonawczej; patrząc na nich, łatwo było zrozumieć, dlaczego niemcy w Afryce Wschodniej tak rozkwitają coraz więcej. Byli tu ludzie pierwszej klasy, ci anglicy i niemcy, którzy mają w Afryce wschodniej dokonać dzieła ważnego dla całego świata. Starczy tam miejsca dla jednych i drugich, to też może tam być mowa tylko o pokojowem współzawodnictwie; w ich interesie, jak i tych, co stoją zdala, leży, żeby te stosunki były coraz lepsze, — i nietylko w Afryce Wschodniej, ale wszędzie.



Bakari z ubitemi przezemnie 2 Thomsonami. Fot. J. Pętkowski.

W Neapolu zastaliśmy na okręcie Selousa, który również wybierał się na polowanie do Afryki wschodniej, lecz ten weteran, którego pierwsze polowanie na gruncie afrykańskim ma już za sobą prawie 40 lat, liczył tylko na wyjątkowo wspaniałe trofea rzadkich zwierząt, podczas gdy my mieliśmy zbierać zarówno wszelkie gatunki grubej zwierzyny płci obojej, jak i całkowite kolekcje wszelkich mniejszych ssaków. Byliśmy przekonani, że jedno i drugie stanowi pracę pożądaną, czysto naukową.

Nikt z żyjących myśliwych nie ma tego doświadczenia, co Selous, a o ile sobie teraz przypominam, żaden myśliwy nie posiada w przybliżeniu jego daru ścisłej spostrzegawczości, połączonej z wyjątkową zdolnością ścisłego zobrazowania tego, na co patrzył. Na rozkładzie miał już tuzin lwów i nosorożców, oraz setki słoni i bawołów, a cztery te gatunki są najniebezpieczniejsze śród grubej zwierzyny, zwłaszcza gdy się na nie poluje tak, jak w Afryce. Jego opowiadania o tem, co widział i czego dokonał, są zarówno interesujące dla przyrodnika, jak myśliwego. Na okręcie było dużo ludzi, miłujących dziką przyrodę, wielu gorliwych łowców grubej zwierzyny, i prawie każdego dnia, żeglując po gorącej, gładkiej tafli wód morza

Czerwonego i oceanu Indyjskiego, zwykleśmy się zbierali na pokładzie wkoło Selousa i słuchali opowieści o niezwykłych przygodach, które tylko temu się przydarzyć mogą, kto długo żył samotnie w puszczy.

Dn. 21 kwietnia przybiliśmy do pięknego, malowniczego portu Mombasa. Na wiele wieków przed erą Chrystusową, nieznani obecnie żeglarze arabscy objeżdżali Lwią Głowę przy Guardafui i żeglowali wzdłuż pustych wybrzeży afrykańskich powoli na południe. Byli to zaiste zuchwali mężowie, którzy puszczali się na nieznane morza. Byli to mężowie o żelaznej energji i wielkiej odwadze, którzy zwalczali niesłychane niebezpieczeństwa i mozoły; utorowali oni drogę handlowi złotem, kością słoniową i niewolnikami, tworząc tam miasteczka i sułtanaty, złożone w połowie z arabów, a w połowie z murzynów. Do tych miejscowości należy Mombasa. Za czasów krótkiej swej świetności Portugalja zawładnęła miastem; arabowie je zdobyli z powrotem, a teraz rządzi niem Anglja. Leży ono tuż na południe równika, a gdyśmy je ujrzeli, wspaniała zieleń roślin tropikalnych zaprezentowała nam miasto z najpiękniejszej strony.

W gmachu rządowym powitał nas jaknajserdeczniej wicegubernator Jackson, który jest nietylko dzielnym i doświadczonym administratorem, lecz także doskonałym przyrodnikiem i znanym myśliwym na grubą zwierzynę; nie mogę istotnie dość gorąco wyrazić swego uznania dla przyjaznej i wielkodusznej gościnności, jaką nam okazywali wszędzie w Afryce Wschodniej przedstawiciele świata oficjalnego i nieoficjalnego. Wyladowaliśmy przy ulewnym deszczu, lejącym potokami, jaki tylko się zdarzyć może pod równikiem; przypomniał mi on Panamę w pewnych okresach deszczowych. Tegoż wieczoru podejmował nas Mombasa — Klub obiadem, a bardzo było ciekawe to zetknięcie się zarówno z kupcami i plantatorami z Mombasy i okolicy, jak i z urzędnikami. Pierwsi składali się nietylko z anglików, lecz także z niemców i włochów, którzy razem przyczynili się do tego, że przynajmniej część wysoko położonego obwodu we wnętrzu angielskiej Afryki Wschodniej stała się jakby „krajem białych"; ażeby zaś to osiągnąć musieli oni żyć z sobą w przyjaźni, traktując sprawiedliwie tubylców, lecz zawsze pamiętając, że tylko w ten sposób możliwe są postęp i rozwój kraju i że nieszczęściem, oraz wystepkiem byłoby szerzenie nienawiści i zawiści śród białych rozbitków. Okręgi nadbrzeżne angielskiej Afryki Wschodniej nie nadają się na punkt osiedlenia dla białych; jedynie głąb kraju jest do tego odpowiednia i tam powinni oni kolonizować.

Na wybrzeżu i w głębi są naturalnie rozległe obszary, na których zwykły kolonista biały żyć nie może i które są odpowiednie tylko dla hindusów; w innych okolicach są liczne miejscowości, które również można im zostawić, gdyż dotąd niema widoków, żeby dostateczna liczba białych mogła zawładnąć tymi obszarami, podczas gdy murzyni, krajowcy, pracują tam bardzo energicznie, choć nie uczenie, wskutek czego nie doprowadza kraju do należytego rozwoju wyższego, który osiągnąć mogą tam obecnie jedynie goanesi i hindusi. Drobni kupcy naprz., którzy uprawiają handel śród krajowców, oraz większość niższych oficjalistów kolejowych, należą do tej ostatniej klasy. Nawiasowo dodam, że u goanesów zabawne jest przezwanie się swoiste. Wielu goanesów dotąd jeszcze ma tak ciemną skórę, jak większość pozostałych hindusów, ale pochodzą oni w męskiej linii od pierwszych awanturników i zdobywców portugalskich, pierwszych białych, których ujrzeli tubylcy na wybrzeżu. Z tego powodu niektórzy krajowcy nazywają dotąd nawet ciemno-skórych potomków poddanych króla Henryka Żeglarza „białymi"; europejczyków zaś zowią poszczególnie anglikami, niemcami i t. d., podobnież można jeszcze spotkać w odległych kątach dalekiego Północo-Zachodu przypadkowo indjanina, który mówi o amerykanach i anglikach, jako o „ludziach z Bostonu" i „ludziach króla Jerzego", ponieważ podczas wojny o niepodległość zwolennicy kongresu nazwani byli bostończykami, a króla— zwolennikami króla Jerzego.

Jedną z farm rządowych zarządza murzyn z Jamajki, nas też podejmował gościnnie inny murzyn z naszej ojczyzny, który z zawodu jest lekarzem. Każdego uderzyć musi ogromny postęp, który cechuje tych ludzi w porównaniu z murzynami-tubylcami, a zwłaszcza dla amerykanina, który z konieczności w domu musi dużo rozmyślać nad sprawą murzyńską, ciekawe jest to zestawienie murzyna amerykańskiego z afrykańskim, uwidoczniające niezwykły postęp pierwszego.

W zbiorowiskach, spotykanych w Mombasa lub Nairobi, mamy zawsze do czynienia z ludźmi spokojnymi, skromnymi, których życie bogatsze jest w przygody niezwykłe, niż życie normanda z IX wieku. Jednym z urzędników państwowych, którego poznałem przy stole gubernatora, był major Hinde. Służył on dawniej pod rządami wolnego państwa Kongo, a gdy w czasie przesilenia państwowego arabscy handlarze niewolnikami już byli bliscy zwycięstwa, major należał do 8 lub 10 białych, różnych narodowości, którzy wzięli górę nad dzikiem wojskiem handlarzy niewolnikami, niszcząc raz na zawsze potęgę arabów. Organizowali dzikie, pogańskie plemiona tak samo, jak to czynili ich wrogowie arabscy; walczyli w kraju, gdzie choroby śmiertelne kładą trupem zwycięzców i zwyciężonych z bezlitosną bezpartyjnością; często zależeli od zwycięstwa jednodniowego, gdyż wtedy mogli zdobyć amunicję, która im pozwoliła prowadzić dalszą walkę; częstokroć zaś musieli się wystrzegać tysięcy kanibalów we własnych szeregach, jak tysięcy wrogów, gdyż z każdej strony walczących, po bitwie zawsze wojownicy ludożerczego pochodzenia korzystali ze sposobności, dobijając rannych i zjadając zabitych.

Najciekawszą książką z prawdziwymi opisami lwów, jest dzieło pułkownika Pattersona „Ludożercy z Tsavo". Pułkownik Patterson był jednym z inżynierów, zajętych przed 10 — 12 laty przy budowie kolei „Uganda"; dozorował roboty w miejscowości Tsavo, gdzie dwa lwy zaczęły napadać i pożerać ludzi; lwy po wielu przygodach stały się jego łupem. W czasie obiadu w Klubie Mombasa zetknąłem się z jednym z bohaterów przerażającej tragedji, którą opisał pułk. Patterson. Był to niemiec; udał się w towarzystwie przyjaciela włocha, w specjalnym pociągu angielskim do wnętrza kraju, ażeby spróbować, czy uda mu się zabić lwa, napadającego na ludzi w pobliżu jednej ze stacyj kolejowych. Specjalny wagon ustawili na bocznicy kolejowej; ponieważ było gorąco, zostawili drzwi otwarte, a urzędnik kolejowy, anglik, usiadł przy otwartem oknie, wypatrując lwy, podczas gdy włoch rozciągnął się na podłodze wagonu, a niemiec wlazł na łóżko, mieszczące się pod dachem. Anglik widocznie zasnął, a gdy go lew ujrzał w oknie, wszedł drzwiami do wagonu, żeby się rzucić na człowieka. Gdy włoch się przebudził, lew stał na nim tylnemi nogami, przedniemi łapami rwąc nieszczęśliwego anglika; gdy niemiec, mój towarzysz, usłyszał to poruszenie, zeskoczył z łoża prosto na grzbiet lwa. Ten jednak był wyłącznie zajęty swą ofiarą; trzymając ciało w paszczy, wydostał się przez ramę okienną i o paręset metrów od wagonu, zakończył bez przeszkód swą krwawą ucztę.

Nazajutrz po wylądowaniu siedliśmy do pociągu, by odbyć dalszą podróż, która mojem i zapewne miłośników przyrody zdaniem, jest najciekawszą na świecie. Był to ekstra-pociąg gubernatora Jacksona, który też sam towarzyszył razem z Selousem; jechaliśmy nadzwyczajnie wygodnie przez raj przyrodniczy. Wszystkie rządy państw cywilizowanych uznają obec-

nie, że obowiązkiem ich jest tu i ówdzie pozostawiać nietknięte obszary dzikiej przyrody razem ze zwierzyną dziką, bez której pustynia traci połowę swego uroku. Rząd angielski pozostawił w tym celu znaczną część okręgu aż do Nairobi; ciągnie się ona daleko na południe kolei i na milę na północ. Tu roi się od zwierzyny, która zajmuje prawie cały obszar. Rozumni mieszkańcy Maine w naszej ojczyźnie stwierdzili, że rozsądna ochrona zwierzyny, prawidłowo prowadzona, wzbogaca gospodarkę krajową; to też obecnie w stanie Maine znajduje się więcej łosi i jeleni, niż przed 40 laty; każdy mieszkaniec Maine, bogaty, czy biedny, jeżeli tylko nie niszczy zwierzyny, ma na swej działce ziemi wyborne polowanie, a znaczna liczba myśliwych i turystów, których ta kraina przywabia, stanowi poważne źródło dochodu dla jej mieszkańców. Takich „rezerw zwierzęcych" nie należy zakładać tam, gdzie mogą zaszkodzić rozwojowi osadnictwa, ani też w tak odległych stronach, do których wcale dotrzeć nie można. Prawa ochrony muszą też uwzględnić to, że nie można pozwolić na zbytnie rozmnażanie się zwierzyny, Należy pamiętać, że prawie każda zwierzyna rozmnażająca się bez żadnej przeszkody, może w końcu stać się plagą dla ludzi, zwłaszcza, gdy ochraniając tę zwierzynę, niszczymy zarazem szkodliwe dla niej drapieżniki. Dalej, nie należy zapominać, że przy takiem rozmnażaniu się bez żadnych ograniczeń, prędko dojść może do uniemożliwienia uprawy roli w danym kraju. Jak w każdej sprawie, najrozsądniej jest i tu trzymać się złotego środka. Najlepiej też jest urządzić specjalne rewiry ochronne, w których zwierzyna może się rozmnażać bez szkody dla nikogo; w pozostałych zaś miejscowościach powinno obowiązywać takie prawo, żeby zarazem pamiętało o dostatecznej liczbie zwierzyny i umożliwiało dzielnym myśliwym rozsądne polowanie; ilość zwierzyny nie powinna nigdzie być tak duża, żeby kolidowała z interesami rolnictwa. Zarazem jednak potępić należy wszelką rzeź zwierzyny, jako barbarzyństwo; wszakże wystąpienie przeciw wszelkiemu polowaniu wogóle, świadczy o bezrozumie i ciasnocie umysłowej danego osobnika.

Rząd angielski oddał prawdziwą usługę ludzkości utworzeniem „rezerwatów" dla zwierzyny w okolicach kolei Ugandy. Doświadczenie, naturalnie, wskaże dopiero, jakie zmiany będą potrzebne od czasu do czasu. We właściwej Ugandzie mnożą się bawoły i hipopotamy z powodu prawa ochronnego tak dalece, że zagrażają już nietylko roślinności, lecz nawet życiu mieszkańców; należy przeto tę zwierzynę wykreślić z listy ochronnej i zaliczyć te gatunki do drapieżnych, na które polować można wszędzie i zawsze.

Co się tyczy słoni, to jedynie wielki popyt na kość słoniową usuwa potrzebę zastosowania takiego samego środka. Natomiast w ostatnich czasach rozmnożenie się zebr w angielskiej Afryce wschodniej, które wyrządzają znaczne szkody w gospodarstwach rolnych, zmusza do zniesienia ochrony, wyznaczonej dla tej zwierzyny, a nawet wymaga koniecznego odstrzelenia. Dalsze rozszerzenie się osad ludzkich pociągnie też za sobą inne zmiany. W ogólności wyrazić się należy z uznaniem o rozumnem postępowaniu ludności i rządu, który, nie zapominając o ochronie zwierzyny, dba jednocześnie o sprawy kolonistów.

Na lokomotywie naszego pociągu ustawiono wygodną ławkę, na której przepędzałem lwią część dnia, oczywiście w towarzystwie Selousa, oraz często gubernatora Jacksona, wybornie obeznanego z temi stronami i zwierzyną. Pierwszego popołudnia widzieliśmy niedużo zwierzyny, a za to ogrom ptaków; okolica była piękna i interesująca. Czarnobiały dzioborożec, który żerował między szynami, tak późno się zerwał, że moglibyśmy go prawie rękoma ująć; perlice i frankoliny, a czasem także dropie, unosiły się bardzo blizko; wspaniałe kraski, żołny i dziergacze prezlatywały nad nami, albo siedziały nieruchomo na drzewach, gdy pociąg przejeżdżał.

Przełożył J. OREŃSKI.

# PIERWSZA POLSKA POWSZECHNA WYSTAWA ŁOWIECKA PRZY P. W. K.

Już nastąpiło otwarcie Powszechnej Wystawy Krajowej, a równocześnie otwarcie Pierwszej Polskiej Powszechnej Wystawy Łowieckiej, mieszczącej się w specjalnie dla jej celów wybudowanym pawilonie na terenie działu rolniczego, przez niestrudzonego, a sprawie naszej łowieckiej niezwykle odanego architekta Müllera z Poznania.

Udział w Komitecie Honorowym tejże wystawy raczyli przyjąć: Minister Rolnictwa Karol Niezabytowski, wojewoda poznański hr. Dunin-Borkowski, prezes Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. Juljusz hr. Bielski, naczelny dyrektor P. W. K. b. wojewoda pomorski dr. Wachowiak, wiceprezes Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. Stanisław Lilpop, wiceprezes Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, ordynat Czarkowski-Golejewski, Zdzisław hr. Tarnowski, kierownik łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa, Juljan Ejsmond, prezydent Wlkp. Izby Rolniczej Wiktor Szulczewski, Władysław Janta-Połczyński, prezydent poznańskiego Banku Ziemstwa Kredytowego Józef Żychliński, generał broni w st. sp. Kazimierz Raszewski, generał Antoni Unrug, Zygmunt hr. Kurnatowski, rektor U. P. prof. dr. Edward Niezabitowski, dyrektor lasów państw. w Min. Roln. Miklaszewski, prof. Wacek ze Lwowa, książę Andrzej Lubomirski z Przeworska, dyrektor lasów państw. w Poznaniu Grzegorzewski, dr. Stanisław Zaborowski z Warszawy, dyrektor Działu Rolniczego P.W.K. dr. Konopiński.

Organizacją wystawy zajmuje się Komitet Wykonawczy, składający się ze ścisłego zarządu W. Z. M., pp. Władysława Kostro, Henryka Górskiego, Stefana Leporowskiego, kierownika biura, członków Związku oraz osób poza Związkiem stojących, z prezesem ppłk. rez. Konstantym Chłapowskim na czele.

Komitet Wykonawczy podzielił swe czynności pomiędzy kilka komisyj, a mianowicie: organizacyjną, naukową, finansową, puszkarską i propagandową.

Wystawa Łowiecka, której celem jest wykazanie znaczenia ekonomicznego łowiectwa dla kraju, oraz kultury łowieckiej, wprawdzie nietylko pod względem zdobyczy myśliwskich, ale również pod względem naukowym i hodowlanym, dzieli się na następujące działy: trofeów myśliwskich,, historji, sztuki i literatury, broni i amunicji oraz wysoko postawiony dział naukowy. W dziale trofeów myśliwskich zauważymy ok. 200 wieńcy jeleni górskich i nizinnych, ok. 100 łopat łosi i danieli, blizko 1000 poroży sarnich, ok.

150 par szabel dziczych, około 50 wypchanych dzików i preparowanych skór dziczych, pozatem mnóstwo wypchanych ssaków, jak niedźwiedzi, rysi, wilków, żbików i t. p. oraz ptaków łownych i drapieżnych, począwszy od orłów, a skończywszy na przepięknych kolekcjach ptaków błotnych i wodnych, jak kaczek, bataljonów, bekasów i innych; zbiorach jaj tychże, w miniaturze przygotowanych bażantarniach, zajęczarniach, paśnikach, wszelkiego rodzaju sposobach polowań, dalej wykresach statystycznych etc. Rozmieszczeniem tychże zajmuje się komisja naukowa, w której skład wchodzą j. m. rektor u. p. prof. dr. Edward Niezabitowski, prof. Wodziczko, wiceprezes W. Z. M. Franciszek Unrug, Władysław Janta-Połczyński, prof. Stecki, nadleśn. Metzig, nadleśn. Mejer i inni.

Dział broni i amunicji reprezentują następujące firmy: Warszawska Spółka Myśliwska, Jaruszewski, Specht, Winiecki i Minke z Poznania, Nowak z Kalisza, Czapczyk z Grudziądza i inni.

W dziale sztuki znajdziemy wszelkiego rodzaju dzieła sztuki malarskiej przedstawiające łowiectwo w przeszłości i teraźniejszości, wybitnych naszych malarzy myśliwskich: Fałata, Ryszkiewicza i innych, a w dziale literatury księgozbiory myśliwsko-przyrodnicze li tylko polskich pisarzy myśliwskich.

Dzięki niestrudzonej pracy komitetu wykonawczego oraz poszczególnych komisyj, długo oczekiwana Pierwsza Polska Powszechna Wystawa Łowiecka przedstawi całemu światu rozwój naszego, odwieczną tradycją, kulturą i etyką wysoko postawionego łowiectwa, a również będzie jedną z największych atrakcyj tej wielkiej imprezy narodowej, którą jest Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu.

Wreszcie zaznaczyć należy, że udział w komisji sędziowskiej raczyli przyjąć: generał broni Kazimierz Raszewski, ordynat Czarkowski-Golejewski, wiceprezes Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, książę Andrzej Lubomirski, Zygmunt hr. Kurnatowski, ordynat hr. Krasiński, generał Antoni Unrug, baron Groedel, Maurycy hr. Potocki, radca Radoński, prezes W. Z. M. ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, radca Stanisław Kurnatowski, hr. Hochberg, Włodzimierz Barański, nadleśn. Metzig, sekretarz W.Z.M. Władysław Kostro, skarbnik W.Z.M. Henryk Górski, Włodzimierz Bronikowski, nadleśn. Martyniec oraz dyrektor Instytutu Łowieckiego z Warszawy, inż. Stanisław Kamocki.

Do Poznania przybył minister Rolnictwa, p. Karol Niezabytowski. Po krótkiej konferencji w Dyrekcji Lasów Państwowych przy udziale kierowników poszczególnych wydziałów, pan minister Niezabytowski w towarzystwie dyrektora lasów państwowych, p. Władysława Grzegorzewskiego oraz inspektora lasów p. Władysława Przybylskiego udał się na teren Powszechnej Wystawy Krajowej w celu lustracji pawilonów wznoszonych przez Ministerstwo.

Równocześnie zwiedził p. minister pawilon łowiecki. Pawilonik firmy Glesinger, wykonany całkowicie z rzadkiego już obecnie drewna limbowego.

# Konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego dla straży leśnej i łowczych.

Wydział Wykonawczy Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza niniejszem konkurs na opracowanie popularnego podręcznika łowieckiego z następującą treścią poszczególnych rozdziałów:

1. Znaczenie łowiectwa pod względem ekonomicznym.
2. Przygotowanie terenów pod względem łowieckim (lizawki, wodopoje, remizy, rośliny).
3. Tępienie drapieżników (sposoby).
4. Hodowla zwierzyny łownej.
5. Krótki zarys tresury psów myśliwskich.
6. Przygotowanie i urządzanie polowań wiosennych, letnich, jesiennych i zimowych.
7. Obowiązki i sposób zachowania się służby leśnej (łowieckiej) przed, podczas i po polowaniu.

Nagroda za najlepszą pracę wynosi złotych 300, oprócz normalnego honorarjum autorskiego. Praca nagrodzona staje się własnością Centralnego Związku i będzie wydrukowana w „Łowcu Polskim", a następnie wydana w odbitce książkowej. Pożądane jest, aby rozmiary pracy nie wykraczały po za 100 stron druku, formatu małej książki. O ile żadna praca nie będzie w całości odpowiednia, zastrzega się ewentualne połączenie części różnych prac w jedną całość, z podaniem nazwisk autorów, między których rozdzielona byłaby nagroda.

Nadające się części pozostałych prac nienagrodzonych będą mogły być umieszczone w „Łowcu Polskim", z przyznaniem honorarjów autorskich.

Prace opatrzone być mają godłem, przyczem dołączyć należy zaklejoną kopertę z takiemże godłem, zawierającą nazwisko autora.

W skład Komitetu Sędziów wchodzą pp. St. Lilpop — przewodniczący, H. Knothe i F. Rożyński, z prawem kooptacji.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1-go października r. b.

WYDZIAŁ WYKONAWCZY
CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

# POLSKA WYSTAWA PSÓW.

Dyrekcja Działu Rolnictwa podaje do wiadomości właścicieli psów rasowych, którzy dotąd nie zgłosili przystąpienia do udziału w Wystawie, że ostateczny i nieodwoalny termin zgłoszeń upływa z dniem 16 maja.

Wystawa psów, już teraz zapowiada się niezwykle interesująco. Dotychczas napłynęło już około 110 zgłoszeń.

Organizatorzy wystawy opracowali już ogólne wytyczne regulaminu. Poszczególne okazy kwalifikowane będą do nagród w dwóch kategorjach: za czystość typu (rasy) i za „użyteczność" (psy myśliwskie, wilki i t. p.).

Transportem okazów zajmie się firma Hartwig, upoważniona do tego przez zarząd P. W. K. Przyszły regulamin wystawy psów można naszkicować już teraz: żywienie psów odbywać się będzie o godzinie 9 rano, przyczem cenę porcji karmy ustalono na zł. 1 — 1.50, zależnie od wielkości okazu. Przed przyjęciem na wystawę każdy pies badany być musi przez urzędowego lekarza weterynarji z województwa, oraz przez jednego lub dwóch lekarzy prywatnych, specjalistów od psich przypadłości chorobowych. Termin przyjmowania psów do pomieszczeń wystawy określono na czas od dnia 30 maja (godz. 12) do dnia 31 maja (godzina 10).

Ustalono już także listę sędziów, przyczem sędzią głównym desygnowano p. Unruga. Sędzia główny wyposażony jest w dość szerokie kompetencje: w zakres jego uprawnień wchodzi: zwoływanie zebrań sędziów, utrzymywanie łączności między jury a zarządem P. W. K., rozstrzyganie ewentualnych sporów wynikłych między sędziami, wyznaczanie sędziów w razie braku kompletu i reprezentowanie kolegjum sędziowskiego wobec zarządu P. W. K. i na zewnątrz.

Wszelkie zażalenia i protesty składać należy wyłącznie u sędziego głównego. Ostateczne przepisy ustali się na walnem zebraniu wystawców w dniu 30 maja. Zaznaczyć trzeba, że suk ze szczeniętami na wystawę nie przyjmuje się.




# Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow.

### DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszeni zostali następujący kandydaci na delegatów powiatowych:

Stefan Juściński, Parafjanowicze, p. Pieski, na pow. Wołkowysk;

Stefan Wyganowski, Pokrzywnica, p. Piątek, na pow. Łęczyca;

Władysław Boczkowski, Gozdawa, p. Szemetowszczyzna, na pow. Postawy;

Władysław Nałęcz, Kikoł, na pow. Lipnowski;

Ludomir Szydłowski, Jastrzębiec, p. Stopnica, Jan Russocki, Nieczesławice, Stopnica, obaj na pow. Stopnicki;

inż. Henryk Rüdiger, Rejowiec, Zjednoczone Fabryki Portland-Cementu Firley, na pow. Chełmski;

Józef Dobrowolski, administrator maj. Kozienice, Kazimierz Tobola, porucznik, Zagożdżon, obaj na powiat Kozienicki;

dr. Stanisław Uzarski, Biłgoraj, Sąd Grodzki, na powiat Biłgorajski;

rotm. Stefan Sroczyński, 7 pułk Ułanów, Mińsk Mazow., na pow. Mińsk Mazow.

Lista ogłoszona 2-gi raz.

### MEMORJAŁ POMORSKIEGO TOW. ŁOWIECKIEGO.

P. szambelan Tomasz Komierowski, prezes Pomorskiego Tow. Łowieckiego i p. wiceprezes dr. Łukowicz wręczyli p. wojewodzie pomorskiemu memorjał w sprawie ochrony łowiectwa, który brzmi:

„Ubiegła zima 1928/29 z bardzo ostrymi mrozami i wielkimi opadami śnieżnymi spowodowała ogromne straty w nielicznym zwierzostanie województwa pomorskiego w chwili, gdy ten zwierzostan zdziesiątkowany podczas wojny, zaczął podnosić się dzięki troskliwej opiece i pomocy prawdziwych myśliwych. Zwierzyna nie znajdując podczas zimy ochrony przed ostrymi mrozami, w braku czego innego, żywić się musiała jedynie twardemi gałązkami, co spowodowało jej ogólne wyniszczenie i przyniosło śmierć ilościom bardzo wielkim, które dzisiaj jeszcze dokładnie podane być nie mogą. Szczególnie ucierpiał stan sarn, stan zajęcy i kuropatw zmniejszył się ogromnie, zwierzyna ta bowiem ginęła masami z głodu, nie mogąc się dostać do pożywienia pod głębokim śniegiem.

Z całego Pomorza dochodzą nas alarmujące wiadomości o klęskach, jakie przyniosła ubiegła zima; wielu myśliwych stwierdza na podstawie obliczenia znalezionych, padłych sztuk, iż straty dochodzą w pewnych wypadkach do 50% zwierzyny istniejącej w jesieni roku ubiegłego.

Wiadomo ogólnie, że zdrowotny stan zwierzyny na Pomorzu był w ostatnich latach bardzo niski, a zwierzyna chorowała masowo na t. zw. „chorobę dziczyzny"; choroba ta bywała często przyczyną niebezpiecznych zachorzeń w żywym inwentarzu rolnika. Wszelkie dane wskazują wielkie prawdopodobieństwa rozszerzenia się przynajmniej w roku bieżącym, jeszcze większych chorób wśród wyniszczonej i osłabionej zwierzyny, co w następstwie przyniesie dalsze obniżenie jej liczby w województwie pomorskiem.

W świadomości wielkiego niebezpieczeństwa, jakie grozi istnieniu naszej zwierzyny, walne zebranie Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego w Grudziądzu uchwaliło otoczyć zwierzynę jaknajtroskliwszą opieką, zmniejszyć odstrzał zwierzyny w najbliższym czasie, a przedewszystkiem prosić pana wojewodę o wydatne ograniczenie czasu odstrzału dla zwierzyny w roku bieżącym.

Członkowie Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego zdają sobie sprawę, że ich dobrowolne ograniczenie odstrzału nie przyniesie pożądanego rezultatu, o ile najdalej idąca ochrona zwierzyny nie zostanie rozszerzona na wszystkie łowiska województwa. Przeprowadzenie ograniczenia drogą rozporządzenia Urzędu Wojewódzkiego zmusi wielu krótkowzrocznych i nieuświadomionych myśliwych do ochrony zwierzyny, nawet mimo woli, przy możliwości odstrzału w pewnym terminie ograniczonym z powodu wyjątkowych okoliczności.

Ochrona zwierzyny wprowadzona drogą administracyjną, wywrzeć może skutek korzystny jedynie w odniesieniu do uprawnionych myśliwych, natomiast nie może przeszkodzić kłusownictwu, rozszerzającemu się na terenie województwa w sposób zastraszający. Że wszystkich stron dochodzą skargi o wzmaganiu się tej plagi, która najlepsze starania troskliwych właścicieli łowisk unicestwia. Do rozszerzenia kłusownictwa przyczynia się także wielka łagodność wyroków sądowych, jak i niedostateczne zaopiekowanie się sprawami łowiectwa ze strony policji.

Wobec opisanych okoliczności, grożących istnieniu łowiectwa, będącego ważną częścią mienia narodowego, Zarząd Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego pozwala sobie prosić JWPana Wojewodę, by skorzystał z przysługujących kompetencyj, przewidzianych rozp. ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928 r. i wydał rozporządzenie, ograniczające czas odstrzału zwierzyny w województwie pomorskiem, na rok bieżący, do terminów niżej podanych:

Dla sarn całkowity zakaz odstrzału, dla kozłów (rogaczy) od 15 lipca do 1 września, dla zajęcy od 1 grudnia do 15 stycznia, dla kaczek i kaczorów od 10 lipca do 31 grudnia, dla danieli od 15 października do 1 grudnia, dla kuropatw od 1 września do 15 października.

Pozatem zarząd uprasa JWPana Wojewodę o spowodowanie podległych organów administracyjnych w powiatach, by policja rozwijała większą gorliwość w śledzeniu przestępstw łowieckich i by osobom, którym się udowodni, że wykroczenia osób trzecich świadomie tolerują i przemilczają, odmawiano wydania kart łowieckich.

Pozwalamy sobie wyrazić nadzieję, że JWPan Wojewoda oceni nasze chęci mające na celu jedynie dobro społeczne, i łaskawie przychyli się do naszych wniosków".




— **Podatek od prawa polowania.** — Najwyższy Trybunał Administracyjny rozpatrywał sprawę pomiędzy Dyrekcją Lasów Państwowych a radą gminy Pajęczno w sprawie opodatkowania nadleśnictwa Pajęczno podatkiem od prawa polowania. W motywach do wyroku wydanego w tej sprawie (L. Rej. 2542.26) N. T. A. uznał, że ustawa o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych z dn. 11.VIII 1923 r. (Dz. U. R. P. Nr. 94 poz. 747) zezwala gminom pobierać podatek od wykonywania prawa polowania również w lasach państwowych, przyczem podatek opłaca wykonywujący to prawo, bez względu na to, czy jest nim samo nadleśnictwo, czy też dzierżawca.

— **Z warszawskiego Ogrodu zoolog.** — Z dniem 3 b. m. zarząd miejskiego ogrodu zoologicznego podniósł cenę biletu wejścia dla dorosłych do wysokości 1 zł., dla dzieci do 50 groszy. Wycieczki szkolne korzystają nadal z wolnego wejścia. Zarządzenie to jest w związku z niezbędnie koniecznemi inwestycjami i uniknięciem deficytu. Zaznaczyć przytem wypada, że bilet wejścia do ogrodu zoologicznego w Poznaniu kosztuje również 1 zł., ceny zaś wejść zagranicą znacznie przewyższają nasze.

Piąty żubr dla warszawskiego ogrodu Zoologicznego znajduje się już w drodze. Żubra tego zakupiono w Szwecji. Jest to wspanialszy, niż dotychczasowe, okaz tęgiego samca. Urodził się wprawdzie w niewoli, ale mimo to ujawniają się w nim wszystkie atawistyczne cechy, odziedziczone po wspaniałych przodkach z kniei Białowieskiej puszczy.

Szczury w ogrodzie zoologicznym nie dają spokoju zwierzętom. Szkodniki wchodzą do klatek i nawet lwom wykradają jadło. W celu zniszczenia tych szkodników inspekcja handlowa magistratu wypożyczyła zarządowi ogrodu zoologicznego foksterjera, doskonale wytresowanego i wypróbowanego w walce z gryzoniami. Foksterjer ten już rozpoczął swą trudną pracę i w ciągu dni kilku zdusił około 50 wielkich szczurów.

— **Strzelanie Bractwa Kurkowego** w Poznaniu odbyło się dn. 2 b. m. na strzelnicy w Szelągu i trwało przy znacznym udziale zawodników dwa dni, poczem odbyło się w sali brackiej rozdanie nagród, poprzedzone przemówieniem starszego Bractwa, p. P. Michałkiewicza. P. Józef Jarocki uzyskał podczas swej kadencji po raz drugi godność króla w Bractwie. I. rycerzem został przemysłowiec p. Jan Serdecki, II. p. Stanisław Jankowiak. Nagrody otrzymali członkowie: Aleksander Ratajczak, Marjan Frankiewicz, Stefan Zygmaniak, Tadeusz Jaruszewski, Stanisław Żurkiewicz, Jan Dzikowski, Ignacy Gadomski, Jan Herman, Mieczysław Pogorzelski, Józef Rakocy, Daniel Szynkowski, Jan Słomiński i Ludwik Rost.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

**Panu Tadeuszowi Nowakowi.** — Jasła dla sarn powinny mieć daszki ze słomy o tyle wystające, aby woda przy topniejącym śniegu nie skapywała na grzbiet, co przy następnem obmarzaniu może powodować zapalenie nerek. Praktyczniejsze są krypy systemu Scheppera. Jasła, zarówno jak i krypy, ustawiać należy na wczesnej jesieni. Szczegółowych informacyj udzielić może W. Panu Instytut Łowiectwa, Warszawa Nowy Świat 35.

**Pan Stefan Rybka w Kraśniku.** — Skórki wyprawia na sposób lipski garbarnia Keilch i Golde w Łodzi.

S. K.

# WIADOMOŚCI HANDLOWE.

### Z DZIAŁU FABRYKACJI OGRODZEŃ ZWIERZYŃCÓW, PARKÓW I OGRODÓW.

Od wybitnego przedstawiciela tego działu przemysłu, właściciela fabryki tkanin matalowych, wszelkich wyrobów drucianych i ogrodzeń w Warszawie przy ul. Elektoralnej nr. 15, p. Tadeusza Malanowskiego, otrzymaliśmy następujące uwagi o dzisiejszym stanie tego działu przemysłu:

Warunki ogólne, w jakich znajduje się obecnie przemysł metalowy, mimo pewnej poprawy w dziedzinie kosolidacji ogólnej, rozszerzenia zakresu wytwórczości w sensie stworzenia nowych działów fabrykacji i unormowania stosunków pracy przez stworzenie zbiorowych umów z pracownikami, są

jednak na ogół w dobie obecnej bardzo ciężkie. Śmiało rzec można, że przemysł metalowy wogóle, a poszczególne jego gałęzi wytwórczości w szczególe przeżywają ostry kryzys, który może przy dalszej swej przewlekłości mieć fatalne skutki dla szeregu przedsiębiorstw zasłużonych dla rozwoju rodzimej wytwórczości.

Chwiejna sytuacja gospodarcza, jaka dała się wyczuć w ostatnich czasach, musiała oczywiście również tu wywrzeć swój fatalny wpływ. Z jednej strony brak gotówki i wysokie jej oprocentowanie, z drugiej zaś brak odbiorców, powstrzymujących się z zakupami i inwestycjami „do lepszych czasów", wytwarza niezdrowe warunki konkurencji wśród wytwórców, byle tylko zdobyć gotówkę dla dalszego prowadzenia wegetacji przedsiębiorstw. Takim niezdrowym objawem konkurencji jest sprzedaż fabrykatów o 20 — 30% niżej kosztów produkcji.

Jestem w posiadaniu faktu, że firma ze mną konkurująca, kupowała u mnie fabrykat po cenie właściwej, odpowadającej istotnej kalkulacji, zaś sprzedawała go po cenie, jak wyżej powiedziano, 20 — 30% niżej kosztu własnego.

To oczywiście ma wpływ deprymujący na odbiorcę, powoduje jego słuszne zresztą rozgoryczenie, a w skutkach prowadzi do niechybnej ruiny oba przedsiębiorstwa konkurujących. Tylko świadomość istotnej wartości fabrykatu i tylko zdrowe warunki konkurencji oparte o dobrą wolę, zarówno wytwórców, jak i odbiorców, mogą w tej ciężkiej sytuacji przynieść pewną ulgę.

Należy mniemać, że Rząd ukonstytuowany pod znakiem naprawy gospodarczej kraju, dołoży wszelkich starań, by przez celowe posunięcia w dziedzinie gospodarczej, spowodować odprężenie nadmiernie już ciężkiej sytuacji i w naszej gałęzi przemysłu.



TADEUSZ MALANOWSKI



Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

*PRENUMERUJCIE I ROZPOWSZECHNIAJCIE*

*„ŁOWIEC POLSKI".*

*W TEN SPOSÓB ROZPOWSZECHNIAĆ BĘDZIECIE KULTURĘ ŁOWIECKĄ W POLSCE.*

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.